MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 40. WARSZAWA, 15 WRZEŚNIA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

DZIWNE RZECZY NA WSCHODZIE

Ludziom dobrej woli do wiadomości;
Czynnikom decydującym pod rozwagę...

W UBIEGŁYM roku szkolnym odbyłem kilka podróży po wschodnich terenach Rzplitej. Obok zebrania właściwego materjału naukowego, co było celem moich wędrówek i odwiedzin szkół, poczyniłem pewne spostrzeżenia ogólniejszej natury. Dużo widziałem rzeczy dziwnych, nawet niepokojących, nie chcę i nie próbuję ich tłumaczyć, regestruję fakty.

Obszar północno - wschodni zwiedzałem niejednokrotnie. W ostatnim roku szkolnym wybrałem się po raz pierwszy we wrześniu 1928 r. I oto okazało się, iż w całym szeregu szkół nie można przeprowadzić badań, gdyż początek nauki odroczono na tydzień, dwa, i więcej, więc nie było jeszcze młodzieży. Przyczyna: niedokończenie remontów. A znów gdzieindziej odbywała się nauka przy akompanjamencie młotków mularskich w sąsiednich salach. Objawy nie wyjątkowe, owszem nawet w jednem z miast wojewódzkich początek roku uległ znacznemu opóźnieniu. Nie wiem, czyją to winą, władz szkolnych, czy osławionych urzędów robót publicznych, w każdym razie podobny fakt w dziesiątym roku istnienia niepodległego państwa chyba nie tylko na mnie przygnębiające wywarł wrażenie.

Ale nie zniechęcam się łatwo. Chcąc pomimo wszystko mieć materjał ile możności kompletny, wybrałem się powtórnie na te tereny w drugiej połowie listopada. Remonty szczęśliwie już ukończono, rozpoczęto naukę, ale jak? Podaję przykład najjaskrawszy. Oto w jednem z gimnazjów na prowincji, na 13 potrzebnych nauczycieli brakło jeszcze 5 i dyrektora, tak że w tym zakładzie typu humanistycznego nie odbywała się zupełnie nauka języka łacińskiego, francuskiego, niemieckiego i gimnastyki, a polskiego uczono tylko w połowie klas! Zakład ten nosi imię Marsz. J. Piłsudskiego, możnaby sądzić, iż będzie się więc cieszył specjalną opieką decydujących czynników, tem więcej, że pracuje na kresach dalekich, że w miejscowości tej istnieje, znane zresztą z polityki na terenie międzynarodowym, gimnazjum „mniejszościowe" choć prywatne, a przecież skompletowane. Tymczasem w polskim zakładzie państwowym skompletowano grono dopiero z początkiem drugiego półrocza, w lutym. Nie dziw, że w takich warunkach rozgrywają się prawdziwe tragedje i zamachy przy maturach, że szkoły wyższe żalą się na napływ niedouczonych maturzystów, że rodzice, nawet rdzenni Polacy, oddają dzieci do zakładu niepolskiego.

Są natomiast nowe pomysły i zarządzenia w dziedzinie polityki „mniejszościowej". Wprowadzono np. alfabet słowiański w gimnazjach białoruskich. Nawet oficjalny szyld dwujęzyczny ma po stronie polskiej litery łacińskie, po białoruskiej—cyrylicę. Więc to, czego nie zdołała przeprowadzić carska Rosja, to my sami robimy. *Cui bono?* Wszak to nie jest nawet przygotowywanie federacji, tem mniej modny dziś „regjonalizm", to chyba ułatwienie propagandy z Mińska, by bolszewicy nie potrzebowali nawet czcionek obcych sprowadzać dla swej bibuły.

Inny przykład. Oto jeszcze przed 20 laty, za rządów rosyjskich, gdyśmy odbywali wycieczkę z młodzieżą szkolną „z pod Austrjaka", mogliśmy stwierdzić, że ludność miejscowa, o ile była katolicka, uważała się za Polaków, a swoje narzecze za gwarę ludową. Wszak w czasie „plebiscytu szkolnego" przeważnie ludność domagała się nauki w języku polskim, a białoruski przyjmowała pod naciskiem władz, jako zbędny dodatek. Ta chęć łączności z macierzą istnieje wyraźnie, ale znów źle widziana przez niektóre czynniki decydujące. Znów fakty.

W jednem z gimnazjów pytam o „mniejszości“. Żydów nie wielu, Litwinów niema zupełnie, bo ich pilnują i wysyłają do swego, choćby odległego, a z białorusinami tak: „Właśnie są“ — mówił mi kierownik— „ale nie chcą się przyznać. Wiemy, że w domu mówią po białorusku, ale oni się do tego nie przyznają, a rodzice twierdzą, że to tutejsza gwara. Oburzają się, gdy próbować ich zapisać jako białorusinów. Poprzednik mój próbował zorganizować kółko białoruskie w celu kultywowania języka, poznania historji i literatury: nikt się nie zgłosił!“

Znów pytam, po co ta propaganda? jaki jej cel? Bo jednak skutek widziałem, nie wszędzie młodzież jest tak „oporna“. Widziałem katolików białorusinów nietylko w zakładach białoruskich, ale nawet w państwowych polskich! A przecie ludność lgnie do Polski i polskości, wszak niejeden żali się, że „panowie z Warszawy nie chcą nas, mówią żeśmy nie Polacy, a czyż ja nie biłem się za Polskę, a ilu nas poległo? w czem my gorsi, że nas przyjąć nie chcą?“

Analogiczne stosunki na południu, tam tylko robi się znów „Ukrainę“. W jednym poważnym zakładzie na Wołyniu, który do niedawna był prawdziwą twierdzą polskości, gdzie wszyscy uczniowie bez względu na wyznanie uważali się za Polaków, obecnie płynie się pod flagą „regjonalizmu“.

„Niemożliwością jest, powiada mój informator, byśmy cały Wołyn spolonizowali, więc wychowujemy ich na „wołyniaków“, z ich tradycją i swoistą kulturą, a równocześnie związaniem z Rzecząpospolitą. To jedyne rozwiązanie problemu“.

A praktyka? Wbrew ustawom i rozporządzeniom wprowadzono nazwę ukraiński zamiast ruski czy rusiński, prowadzi się naukę ukraińskiego języka i literatury, oczywiście z Szewczenką i Szaszkiewiczem, choć zdaję się, że oni nigdy nie byli na Wołyniu, prowadzi się rubrykę tej narodowości w statystykach. Jak to pogodzić z wołyńskim regjonalizmem, czy to jest do niego droga — nie umiał mi na to odpowiedzieć mój informator.

A jeszcze bardziej na południu? Pomijam dobór i traktowanie ludzi tylko wedle przynależności partyjnej, a nie wedle kwalifikacyj zawodowych i osobistych, ale znów rzeczy zasadnicze. Nietylko szkolnictwo „mniejszościowe“ cieszy się specjalną opieką i życzliwością, ale propaganda przeciwpolska, nawet nie przeciwnarodowa, lecz wprost przeciwpaństwowa jest wyraźnie tolerowana. Wszak nawet żądania władz politycznych poskromienia antypaństwowej jaskrawej działalności ukraińskich „boryteli“ wśród nauczycielstwa nie znajdują oddźwięku u władz szkolnych. Zresztą — szeregi sprzeczności. Nakazuje się rozmaite państwowe i półpaństwowe obchody i uroczystości, ustala się zgóry programy, a gdy potem w miejsce podniosłej uroczystości nastąpią ekscesy i manifestacje wprost przeciwpaństwowe, sprawę zatuszowuje się, nierzadko wbrew wnioskom i życzeniom kierownictw szkół. Przykłady zbyt częste i jaskrawe, w miastach wojewódzkich, pod bokiem władz, by trzeba je było podawać. Czyż to nie jest wprost demoralizacją, zachętą do dalszej destrukcyjnej roboty?

A w odniesieniu do szkół polskich? Dość wspomnieć, że we Lwowie gimnazjum, które statutowo za austrjackich czasów miało zastrzeżony charakter bezwzględnie polski, dziś nie tylko w gronie nauczycielskim posiada przedstawicieli „mniejszości“, ale nawet historji uczy człowiek nie władający poprawnie językiem polskim i znany ze swych nastrojów i działalności. A ile szkół polskich powszechnych zwinięto lub zutrakwizowano pod płaszczykiem podniesienia poziomu i stopnia organizacyjnego?

Ograniczyłem się do dziedziny szkolnictwa, nie omawiam szeregu innych faktów z dziedziny ekonomicznej, religijnej, administracyjnej. A i tu bywają też objawy wprost tragicznie groźne, jak reemigracja osiedleńców polskich ze wschodu, którzy za czasów austrjackich przybyli i osiedli na rozparcelowanych gruntach, dziś pod polskim rządem nie pewni nie tylko mienia, lecz i życia, uchodzą na zachód na nędzę, lub nawet rzucają kraj i idą na emigrację. Albo kurczenie się żywiołu polskiego choćby w samym Lwowie, wykupywanie całych dzielnic przez organizacje ruskie, wyzbywanie się warsztatów pracy przemysłowej, a zwłaszcza handlowej przez nas na rzecz „mniejszości“ obcej rasy, wyznania. Wybrałem fakty typowe, które mogłem sam stwierdzić, których wiele ma świadectwo w aktach, albo są powszechnie znane.

Ograniczyłem się do dziedziny, w której pracowałem, którą znam, a gdzie widzę nie „radość twórczą“, lecz błyski pożaru, a gdzieniegdzie nawet zgliszcza. To nie budowanie państwa, nie wzmacnianie, lecz rozluźnianie więzów, podsycanie elementów wrogich.

Nie wiem czy bezgraniczna ignorancja, czy wprost zła wola pewnych czynników, pryncypializm i doktrynerstwo, czy nakaz z zewnątrz? Z opublikowaniem mych uwag wstrzymywałem się prawie rok, dzieliłem się z osobami związanemi z obecną grupą rządzącą, zapewniano mnie, że to jakieś wielkie nieporozumienie, że nie jest to bynajmniej w planie czynników decydujących, że musi uledz zmianie...

Zmian nie widzę, nie widzę nawet zajęcia się temi sprawami. Władze szkolne wydają rozmaite daleko nieraz idące zarządzenia, ale zupełnie nie wiążące się z sanacją poruszonych dziedzin. Zdecydowałem się więc na poruszenie publiczne sprawy, choć może przez to nawet ulegnie ona chwilowo pogorszeniu, lecz sądzę, że zainteresowanie się szerszych sfer, zgodna i jasna opinja ogółu polskiego społeczeństwa prędzej czy później zmusi powołanych do tego, by zawrócili z fałszywej drogi, by naprawili błędy i grzechy, a winnych postawi pod pręgierz historji. Wierzę w ducha zdrowego Narodu, który znajdzie drogę mimo chwilowych zboczeń i zawrotów.

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

MYŚL POLITYCZNA J. L. POPŁAWSKIEGO. II.

ZAGADNIENIE ASYMILACJI ŻYDÓW

MÓWIĄC o nowelach Szymańskiego, wyraża się Popławski[1]) z pogodną ironją o „krytykach i czytelnikach", których „ucieszył Żyd, tęskniący za krajem, ów pożądany Polak „mojżeszowego wyznania", stanowiący niezbędną przyprawę do patrjotycznej potrawki z sosem warszawskim".

Popławski przeciwstawia się stanowczo temu „pożądaniu", aby w Polsce było coraz więcej „Polaków" owego wyznania; nie podzielał on nigdy niezdrowej, łatwo zapalnej egzaltacji pewnych kół społeczeństwa polskiego, jaka szczególniej silnie wystąpiła już po jego śmierci, podczas wielkiej wojny światowej, nie wierzył bowiem, jako jednostka pełna, nawskroś zdrowa, realna i idealistyczna zarazem, w istnienie czegokolwiek dlatego tylko, bo właśnie tego potrzebował lub chciał; łatwowierność taka, naiwna i lekkomyślna zarazem, dająca się wyzyskiwać przez wrogów z nieobliczalną szkodą dla Polski — była obcą i nienawistną dla tej świetnej duchowej organizacji polskiej, lotnej a na empiryzmie całkiem opartej; obliczającej ściśle wszelkie szanse, ale zarazem ceniącej wysoko moce niedostrzegalne a istotne, „*imoponderabilia*" duchowe.

Dlatego ten „cały Polak" mickiewiczowski odnosi się z rezerwą nietylko do nadmiernej, ale nawet do asymilacji wogóle. Te zastrzeżenia Popławskiego, i to w czasie, gdy do najlepszego tonu patrjotycznego należało poparcie asymilacji, wypływają z różnorakich przesłanek.

Więc najpierw, z poczucia zdrowego instynktu narodowego, dążącego do zachowania czystości rasy. „Właściwą jest" — stwierdza Popławski — „każdemu żywotnemu narodowi i zupełnie uzasadnioną obawa wchłaniania w większej liczbie pierwiastków obcych"...

Powtóre, dla nieskuteczności asymilacji żydów; nawet już zasymilowani, i to najliczniej właśnie — „prędzej czy później poczuć się musieli żydami"... — mówi Popławski[2])

I po trzecie, dla wielkiego niebezpieczeństwa, jakiem groziło społeczeństwu polskiemu samo usiłowanie asymilowania Żydów, t. zw. zbliżenia się do nich, zrównania ich ze sobą nietylko pod względem prawnym, ale i towarzyskim, a szczególniej przejmowania ich poglądów; już za czasów Popławskiego dawało się obserwować zjawisko społeczne, które możnaby nazwać asymilacją asymilujących. „Inteligencji polskiej w zaborze rosyjskim, zwłaszcza w Warszawie"— mówił Popławski, — „groziło zupełne zżydzenie. Już kilka lat temu[3]) przewidujące umysły zastanawiały się nad niebezpieczeństwem rozłamu naszego społeczeństwa na lud rdzennie polski i na polsko-żydowską inteligencję"... — konkluduje Popławski, jakby w proroczem widzeniu oglądał nasze czasy.

Zajmuje się Popławski asymilacją, bo stačby się ona mogła jednym ze środków usunięcia obcego, żydowskiego pierwiastka z życia polskiego, ale asymilacją pożyteczną dla niektórych przynajmniej części kraju, np. dla Galicji przed wielką wojną, mogła być tylko „asymilacja częściowa" i „w ciągu kilku pokoleń przeprowadzona", przy jednoczesnem „zmniejszaniu się liczby żydów wogóle w całym kraju".

Asymilację powolną i skuteczną—nazywa Popławski „naturalnym sposobem wypierania Żydów" i uważa ją za pożądaną i dla nas, i dla tej inteligencji żydowskiej, która (za czasów jego) widziała w asymilacji „jedyne, chociaż na daleką przyszłość odraczane rozwiązanie palącej kwestji" (żydowskiej). Ale inteligencja ta, wogóle nieliczna, została wkrótce wyparta przez szybki wzrost nowego ruchu wśród żydów, syjonizmu, który, jak mówi Popławski, „oddawna się szerzył zarówno w masie pospólstwa żydowskiego, jak wśród inteligencji żydowskiej w naszym kraju".

Do asymilacji czynią żydów skłonnymi: 1) brak własnego, żydowskiego terytorjum państwowego, 2) stosunki handlowe z nieżydami, a w dalszym ciągu i polityczne i towarzyskie, 3) wpływy kulturalne wyżej cywilizacyjnie stojących społeczeństw, oraz 4) „słabnięcie wyłączności żydowskiej organizacji" i „rozluźnianie się spoistości wewnętrznej żydowstwa" z jednej strony, a wzrost świadomości narodowej obcego środowiska, w którem żydzi zamieszkali, oraz spotęgowanie się jego siły gospodarczej—z drugiej strony.

Popławski ujmuje bardziej szczegółowo sprawę w ten sposób, że tam, gdzie „organizm rozwija się pod względem gospodarczym i dojrzewa do świadomości narodowej", a „pierwiastek obcy jest mniej spójnym i zwartym w sobie", tam „łatwiej i tem prędzej pójść może asymilacja tych części składowych pierwiastku obcego, które jakościowo i ilościowo do asymilacji się nadają".

Popławski sam nie określa, na czem polega asymilacja; przytacza zato opinję „jednego z wybitnych przedstawicieli spolszczonej inteligencji żydowskiej"; wedle żydów tedy „asymilacja robi znakomite postępy", gdy 1) „język krajowy zyskuje wśród nich rozległe rozpowszechnienie"; 2) „szkoły publiczne w kraju przepełnione są żądną oświaty młodzieżą żydowską, której liczne zastępy z każdym rokiem powiększają szeregi uspołecznionych żydów"; 3) „nabożeństwa i obrzędy religijne (żydowskie, naturalne) przybierają kulturalne i estetyczne formy"; 4) „usiłowania zwrócenia ludności żydowskiej do pracy produkcyjnej w różnych kierunkach, natrafiają na grunt podatny i poczynają przynosić nader pocieszające rezultaty".

W tem ujęciu asymilacji przez samych żydów, polega ten ruch nie na dążeniu żydów do tego, aby się stać Polakami, ale na jaknajlepszem, najzyskowniejszem przystosowaniu się masy żydowskiej, o charakterze koczowniczym (dlatego „nie zwróconej do pracy produkcyjnej w różnych kierunkach") i wybitnie handlowym — do warunków życia wielostronnego i cywilizacyjnie wyższego, oraz do ludzi, którzy z odrazą patrzą na żydowstwo — według samych żydów — nawet w zakresie religji „niekulturalne i nieestetyczne".

Ale tak pojęta asymilacja (przystosowanie się pierwiastka obcego do ludności tubylczej pod względem zewnętrznym jedynie, bez zaczerpnięcia jej duchowej treści) jest tylko jednym ze sposobów walki żydowstwa z gospodarzami kraju.

Nie wyrzekając się bynajmniej swej odrębnej osobowości i swoich specjalnych celów, w pierwszej linji zapanowania nad gospodarzami kraju, który ich

[1]) Patrz „Myśl Narodowa" z r. b. № 39, str. 147.

[2]) Jak bardzo Popławski jest przekonany o nieskuteczności asymilacji, mogą służyć takie jego wyrażenia, jak „Żydzi zasymilowani" (a więc nie „Polacy"), „spolszczona inteligencja żydowska" (a więc nie polska, mimo, że zasymilowana!)

[3]) Artykuł był pisany w 1904 r.

przyjął, — żydzi za pośrednictwem swej „spolszczonej inteligencji żydowskiej“ uzyskiwali tak potężny środek walki, jak język krajowy (w szerszem rozumieniu: prasa, literatura) oraz możność przeniknięcia, za pośrednictwem żydów, oddających się „pracy produkcyjnej w różnych kierunkach“ — do wnętrza społeczeństw chrześcijańskich i aryjskich, „z nader pocieszającemi rezultatami“, jak trafnie określili sami żydzi.

Wywód powyższy tłumaczy zarazem, że asymilacja nie jest dziełem aryjczyków — tubylców, jak to żydzi podsuwają, a ogół bezkrytyczny bez sprzeciwu przyjmuje, ale jest pomysłem i akcją stworzoną i kierowaną przez żydów, zarówno dla osiągnięcia korzyści doraźnych, jak i celu zasadniczego t. j. zapanowania nad gospodarzami — tubylcami, a w ostatecznym wyniku — nad światem.

Taka gra asymilacyjna jednak, o wybitnie politycznych celach, długo ciągnąć się nie mogła. Po osiągnięciu zdobyczy, szczególniej w punkcie pierwszym (język krajowy), drugim (otwarcie dla żydów szkół publicznych) i czwartym (zwrócenie żydów do „pracy produkcyjnej“) — mogli byli żydzi asymilację zarzucić, aby przejść do następnej, ściśle związanej z asymilacją formy walki z gospodarzami kraju, t. j. do syjonizmu.

Nie można się było jednak do tego otwarcie przyznać. Zresztą wielu „spolszczonych inteligentów żydowskich“ było zapewne szczerze przekonanych, że stali się Polakami „mojżeszowego wyznania“, a wiadomo, jak bardzo są pożyteczni tacy gorliwcy, jako nieświadoma osłona istotnych celów, głęboko ukrytych przed ogółem, trzeba było natomiast poszukać powodów bankructwa asymilacji i znaleziono je, naturalnie, w masach społeczeństwa polskiego.

Mimo, że społeczeństwo polskie w swej masie do asymilacji odnosiło się sympatycznie, pozostawiając (z dużą obojętnością i nieznajomością stosunków) egzaltowanym entuzjastom wprowadzanie „mas żydowskich“ we wszystkie korzyści „asymilacji“, żydzi— w pewnym momencie — stwierdzili głośno, że „warunki przyjazne asymilacji ustąpiły miejsca nader niesprzyjającym“, dzięki „ideom ekskluzywizmu i nietolerancji, z których wyrósł antysemityzm“. „Znaczne odłamy społeczeństwa“ — żalili się żydzi — „niepomne wskazań miłości bliźniego, poczęły często nawet bardzo brutalnie odtrącać i odpychać od siebie garnące się do asymilacji żywioły“...

Obok tego czynnikiem, prowadzącym do bankructwa asymilacji, był — wedle żydów — wrogi stosunek „masy żydowskiej, społecznie niedojrzałej“, do ogółu polskiego oraz „liczne odstępstwa spolszczonych żydów od wiary ojców“, co „nieprzychylnie usposobiło masy do asymilacji“.

Kapitalne jest w powyższym wywodzie odwołanie się żydów do „wskazań miłości bliźniego“, zaaplikowanych Polakom w tym momencie, gdy żydzi jako wskazania dla siebie postawili szkoły, urzędy i „pracę produkcyjną“, nie bez „nader pocieszających rezultatów“...

Popławski pobłażliwie nazywa całą o „ekskluzywizmie“ gadaninę tylko „klasycznym swą naiwnością i szablonowością wywodem“, wyjaśniając istotne powody bankructwa asymilacji w ten sposób, że nastąpić ono musiało z wielu przyczyn, a przejawiło się z chwilą, gdy asymilacja „przybierać zaczęła szersze rozmiary i właśnie gdy szkoły przepełniła żądna oświaty młodzież żydowska“.

„Bo to nieprawda“—mówi Popławski—„że z tej młodzieży wyrastały zastępy „uspołecznionych żydów“. Raczej zgodzić się trzeba, że między t. zw. kulturalnymi żydami było wielu przebranych chałaciarzy, którzy przyjęli zewnętrzny pozór kultury, zachowując wszystkie wady i wszystkie specyficzne, złe czy dobre, ale obce społeczeństwu polskiemu właściwości swej rasy. Pierwsze zastępy zasymilowanych żydów, nieliczne zresztą, rekrutowały się w ogromnej większości z rodzin, które już miały ogładę towarzyską i pewną tradycję kulturalną, a czasem nawet patrjotyczną polską...[4]) ale z biegiem czasu do społeczeństwa polskiego wchodzić zaczęli coraz liczniej żydzi, pochodzący z sfery, którą warunki współczesnego życia nad gmin pracujący i ciemny wynoszą, ale która nie ma żadnej kultury, żadnej tradycji obyczajowej i etycznej. Osławieni kantorzyści warszawscy są typowymi przedstawicielami tej sfery pośredniej. Nie ciemne masy, ale ta sfera zaczęła, pozornie zresztą, asymilować się, przybierając strój europejski i język polski... Później dopiero i z ciemnego i ubogiego pospólstwa żydowskiego zaczęły wychodzić coraz liczniej jednostki, które zwiększały zastęp rzekomo zasymilowanych. Ten zastęp nie już z każdem pokoleniem... ale z każdym corocznym kontyngentem wchodzących do szkoły lub ze szkoły w życie — miał coraz więcej właściwości żydowskich. Ci żydzi coraz tłumniej, a więc coraz śmielej wchodzili w nasze życie, nawet bezczelnie wciskali się przebojem, wnosząc w nie wszystkie znamienne rysy swej umysłowości, swej odrębnej etyki i obyczajowości“.

Nie pomija Popławski i strony ekonomicznej całej sprawy, mówiąc, że „rola zasymilowanych żydów w naszych stosunkach społecznych i ekonomicznych nie była wcale sielankową i niewinną... zwłaszcza, gdy idzie o tych zasymilowanych z późniejszych kontyngentów, którzy zachowali ścisłą łączność z masą żydowstwa. Napływali oni do wszystkich zawodów, zajmowali wszystkie stanowiska, jakie prawo zająć im pozwalało, a w walce konkurencyjnej, która jest tłem współczesnego życia, górowali nad żywiołem polskim swoją wiekową rutyną, swoją odrębną a niższą etyką. Jednocześnie proces asymilacji nie wpłynął wcale na masy żydowskie, które coraz bardziej obniżały poziom etyczny i ekonomiczny naszego życia. Ich tryb życia, — jak mówi „Gazeta Polska“ — sposoby zarobkowania, ich metody traktowania różnych spraw ekonomicznych, społecznych, etycznych, pozostawały zawsze bez zmiany i w wielu razach miały cechy dla społeczeństwa polskiego ujemne. Lichwa, paserstwo, szynkarstwo, koniokradztwo, handlarstwo żywym towarem — koncentrowały się w ich rękach. Monopol handlu trzymali zazdrośnie i bronili go świadomie, a bez skrupułów. Jest to tylko cząstka tego, co powiedzieć można o ujemnym wpływie działalności ekonomicznej żydów“... — konkluduje Popławski.

Ale obok tego chamstwa, tej agresywności i zachłanności rażącej i odstręczającej, które można wskazać, jako powód zewnętrzny niepowodzeń asymilacyjnych — Popławski widzi istotne ich przyczyny w głębokich przeobrażeniach społecznych, jakie przeszedł naród polski.

Gdy „w życiu narodu, społecznem, ekonomicznem, a nawet umysłowem“—mówi on—„zaczynają brać coraz liczniejszy udział przedstawiciele coraz szerszych

[4]) O patrjotyźmie polskim żydów mówi Popławski (I, 125), że „może być bardzo idealnym, na wysoki ton braterstwa nastrojonym; może niekiedy łączyć się z przyrodzonem przywiązaniem do kraju, w którym się urodzili, do narodu, z którym się zespolili lub przynajmniej zespolić pragną. Ale conajmniej dziwnem byłoby żądanie od nich miłości do tradycji narodowej, dla przeszłości, dla kultury“...

i coraz niższych, właściwie powiedziećby należało, coraz głębszych i rdzenniejszych, warstw ludności... na które cywilizacja, z natury swej kosmopolityczna, bardzo słabo oddziaływa"... gdy w nich „przejawia się najżywiej i ostro zaznacza odrębna indywidualność, czyli, co jest nieomal równoznacznem, wyłączność narodowa ze wszystkiemi swemi właściwościami, przyrodzonemi i tradycyjnie utrwalonemi"... wówczas „w społeczeństwach silnych, żyjących życiem samodzielnem, panujących, wyodrębnienie się, wskutek demokratyzowania się ich indywidualności narodowych, wyrażało się w dążeniu do wchłaniania i asymilowania obcych pierwiastków lub usuwania i wykluczania zbyt opornych; w społeczeństwach zaś słabych, zależnych, niesamodzielnych — w uporczywem zachowaniu swych właściwości znamiennych, w ścisłem odgradzaniu się od żywiołów obcych, w coraz intensywniejszem skupianiu się koło tradycyj historycznych, plemiennych lub wyznaniowych... Fakt demokracji społeczeństw współczesnych, nie na podstawie filiacji ideowej prądów społecznych i umysłowych, ale na realnej podstawie zależności ich od przeobrażeń w życiu, tłumaczy nam takie zjawiska „ekskluzywizmu", jak nacjonalizm i nawet szowinizm narodowy"... a to „budzenie się indywidualizmu narodowego" (polskiego)—musiało „przyśpieszać i rozszerzać proces asymilacji żydów" i — w miarę zbliżania się „bankructwa" asymilacji — przejście do bardziej celowej formy walki — do syjonizmu.

„Im liczniejszemi stały się zastępy" (żydów) — mówi Popławski — „które przyjmowały powierzchownie kulturę narodową, zdobywały wiedzę fachową i stanowiska społeczne — tem wyraźniej i brutalniej zaznaczały się w ich zachowaniu i działalności właściwości odrębne. Nietylko coraz mniej byli „Polakami", a coraz więcej żydami, ale coraz wyraźniejszymi, coraz bardziej typowymi żydami, im głębiej sięgała oświata zewnętrzna w masy, które od wieków skrystalizowały się w swej odrębności religijnej, rasowej i społecznej..."

Tu leży wytłumaczenie, dlaczego nieomal wszyscy zasymilowani musieli („potrzebowali") prędzej czy później wrócić do żydowstwa, bez oskarżania o to t.zw. antysemityzmu, który conajwyżej „przyśpieszył tylko to uświadomienie w szeregach zewnętrznie zasymilowanej inteligencji żydowskiej"; z „masą żydowską" bowiem łączyło ją „bardzo ścisłe pokrewieństwo pojęć, instynktów, upodobań, tembardziej, że swemi stosunkami rodzinnemi i majątkowemi lub zarobkami — ta inteligencja tkwiła bardzo głęboko w masie żydostwa, tak odrębnej od społeczeństw chrześcijańskich".

Wszystkie te rozważania Popławskiego doprowadzają do wniosku, że asymilacja żydów nie tylko nie ma podstaw dla siebie ani w społeczeństwie żydowskiem ani polskiem, ale, będąc jednym z okresów walki żydów o władzę i wpływy, jest wysoce szkodliwa dla Polski, umożliwiając wprowadzanie do życia społeczeństwa polskiego — czynników zawsze obcych i w przeważającej większości świadomie — wrogich.

IGNACY KOZIELEWSKI

„AHNENVERLUST"

CZYTELNICY „Myśli Narodowej", którzy cokolwiek mieli do czynienia z nowoczesną teorją dziedziczności, wiedzą, co to znaczy *„Ahnenverlust"*. Ja świadomym terminu tego tłumaczyć nie potrzebuję, nieświadomym nie zamierzam. Wystarczy mi spolszczyć go na „utratę przodków" i skonstatować, że i na tę przypadłość choruje w sposób niebezpieczny współczesny, oficjalny konserwatyzm polski. Dowody:

I.

8-go marca 1892 r., w dwa dni po śmierci swego założyciela i czołowego publicysty, Pawła Popiela, pisał „Czas" o nieboszczyku, co następuje:

> „Dla społeczeństwa, dla przyszłych pokoleń zostawił Paweł Popiel bogatą spuściznę myśli i zasad, które strzec, które krzewić będzie obowiązkiem tych, co blisko niego stali".
>
> „Stosy pism jego",— dodawał do powyższej oceny historjograf Stańczyków, Ludwik Dębicki—„rozrzuconych po dziennikach, broszury i rozprawy złożą się niebawem w jedną z najważniejszych książek politycznych XIX-go wieku. Miały one znaczenie doraźne — każde z tych pism było czynem, ale są one jak wino, któremu czas doda tylko mocy. Jędrnością języka Popiel, zbliżony do autorów złotego wieku, dla przyszłych pokoleń poda miarę ludzi, wypadków i zasad, o jakie toczyła się walka".

Czas dodał w rzeczy samej mocy pismom starego Popiela—stwierdzili to w świetnych recenzjach jego pamiętników krytycy tak zresztą odmienni od siebie, jak senator Kozicki w „Myśli Narodowej" i pułkownik Tokarz w „Kurjerze Warszawskim". Czas, nie "Czas". Ten — nigdy się nie zmęczę powtarzaniem tego gorzkiego *„J'accuse"*—przemilczał pojawienie się pamiętników swojego praojca. Pp. Estreicherowie, Beauprowie i Jaworscy, którzy mają czas na reklamowanie wielkości semickich i filosemickich, zastosowali w tym wypadku z rutyną mistrzów *„la conspiration du silence"*.

Co dziwniejsza, że nie znalazł się żaden ziemianin, żaden pośredni czy bezpośredni spadkobierca świetnej Popielowskiej tradycji, katolickiej, szlacheckiej i pisarskiej, któryby się był postarał o przełamanie tego milczenia, o położenie kresu temu wstydowi. Przystało tym, co nieustanną chwalbę wielkości teraźniejszych mają na ustach, być w tym wypadku *„laudatores temporis acti"*. A czy wisiał portret Popiela w pawilonie ziemiańskim na wystawie poznańskiej (jeżeli już nie na stoisku „Czasu")? O, zaiste! gdyby stary pan Paweł ożył na chwil parę, on, ziemianin z krwi i kości, on siewca niestrudzony, mógłby, spojrzawszy na dzieło następców swoich, użalić się słowami Pisma: „A gdy siał, niektóre padły przy drodze i przylecieli ptacy niebiescy i podziobali je".

Nie był też Popiel — jak wynika z jego pamiętników—politykiem klanu. Świadczy o tem dokładnie stanowisko, zajęte przezeń w roku 1863, a które już częściowo oświetlił dziejopis roku tego, pułkownik Wacław Tokarz. W zakresie nas obchodzącym przytoczę tylko dwa obrazki:

> „Krakowski komitet"—pisze Popiel w swoich „Pamiętnikach" — „był... złożony z ludzi młodych, którzy różniąc się co do zasad z rządem narodowym, nie chcieli jednak dać się prześcignąć w patrjotyzmie. Skrytobójcze jego wyroki potępiał, starał się jednak o organizowanie wypraw, które Królestwo niepokoiły, a powstanie, wedle cesarskiej (Napoleoń-

skiej) rady, utrwalać miały... Przybyli w Wielki Tydzień do Krakowa ks. Sapieha i Rogier Raczyński. Z obydwoma zeszedłem się pod Baranami. Raczyński był to genjalny warjat, żyjący frazesami i chęcią wywołania wrażenia. Zresztą szlachetny. Sapieha, więcej praktyczny, niemniej pałał chęcią odegrania roli. Z Raczyńskim nie było co mówić. Sapieha wspomniał o organizacji korpusów w Galicji Wschodniej, na co ja: „A po co?" Zacząłem dokładnie przedstawiać nieużyteczność i niebezpieczeństwo wywoływania albo popierania jakiekolwiek ruchu na Wołyniu lub Podolu. W tej fazie naszej sprawy nazywałem nawet wszelkie działanie w tym kierunku zbrodniczem. Wkońcu uznał to Sapieha i przyznał, że ręki nie przyłoży do organizowania wypraw do zabranych krajów. Czy dotrzymał?"

Drugi obrazek:

„Aby zdać sobie sprawę z położenia" — pisze Popiel w zacytowanych pamiętnikach—„pojechałem w grudniu (1862 r.) do Warszawy. Obok komitetu czerwonego utworzył się (bo trudno powiedzieć: zorganizował) komitet biały. Po co, nie wiem, bo nie po to, aby Wielopolskiego popierać, ale chyba po to, aby, pod pozorem miarkowania komitetu czerwonego, dodawać mu siły. Licznie złożony, liczył ludzi zacnych, jak Górscy... i zapalonych, jak Tadeusz Lubomirski itd. Zręcznie, a jak zwykle podstępny utrzymywał z tem gronem stosunek Kronenberg, spowinowacony z Rządem Narodowym".

A już po opisie katastrofy Jordana dodaje Popiel:

...Słychać, że Jordan pobity (pod Komorowem), Jaś (syn Popiela) ranny. Wieczór wyjeżdżam z Tarnowa koleją, ze mną Tadeusz Lubomirski; w rozmowie przypominam mu, jak gorąco w Warszawie za powstaniem gardłował. „Ja nigdy nie wierzyłem ani wierzę w jego powodzenie, ale jestem Lubomirski i popierać powstanie muszę". Po tem oświadczeniu lat dwadzieścia do niego nie gadałem".

II

Nic dziwnego, że w dobie, kiedy w całym obozie ziemiańskim dominuje „polityka klanu" [1]), taki rogaty weredyk jak Popiel nie może w tym obozie cieszyć się popularnością. Co dziwniejsza, że porosła również trawa na grobowcu tego męża wielkiego w konserwatyzmie imienia, jakim był Stanisław Tarnowski.

Zeszłej zimy (31 grudnia 1927) przypadła dziesiąta rocznica jego zgonu. Parę pism, garstka krewnych i przyjaciół, złożyło hołd należny temu, który, jak Mojżesz, nie zdążył wejść z domu niewoli do ziemi obiecanej, ziemi ojców swoich. Milczał Uniwersytet krakowski, opanowany w dużej mierze przez „nowych panów", którzy nie poczuli się dotąd zobowiązani do zrobienia czegokolwiek dla pamięci swego wielkiego rektora, milczał również — jak zaklęty, jak zatajony, jak „wtajemniczony" — „Czas", co, sprzeniewierzywszy się podczas wojny i po wojnie tradycji swojej, chwalił tylu „cudzych bogów".

Znalazł się wkońcu wysoki dostojnik Kościoła, który przełamać postanowił wtórą tę *„conspiration du silence"*. Pod pseudonimem „Franciszka Kabe" wydał w Sandomierzu broszurkę biograficzno-bibljograficzną ku upamiętnieniu dziesięciolecia znakomitego a zapomnianego męża. Broszura ta, chociażby nastręczała niejedną uwagę krytyczną, ujmuje wszakże czytelnika głębokiem zrozumieniem przepięknej duszy Tarnowskiego, którą umieli ocenić nawet przeciwnicy:

„Wszystko, co czyni i jak czyni"—pisał np. w roku 1877 „Goniec" warszawski — „jest tylko wypływem jego silnych i niezachwianych przekonań i zasad, ugruntowanych na prawym charakterze, czem niezaprzeczenie wyżej stoi od wielu wielkości".

„Szkoda jednak"—wtrąca gdzieindziej od siebie „Franciszek Kabe" — „że Tarnowski, zamiast grozić, jawnie nie opuścił szeregów, skupiających się około „Czasu". Dałby (był) w ten sposób publiczny dowód, że nie idzie razem z ludźmi, którzy trzymali się tego organu, dbającego o konserwatywny kierunek tylko o tyle, o ile zabezpiecza (!) on materjalne i dorywcze korzyści..."

Tarnowski również — jak wynika tak z broszury cytowanej, jak z bliższego zapoznania się z jego pismami — nie był przenigdy politykiem klanu. W rozstrzygających chwilach życia zdawał sobie sprawę, podobnie jak przyjaciele i mentorzy, jak Klaczko, jak Szujski, jak Kalinka, ile i jak zawiniła w przeszłości nasza oligarchja i jak wielu z jej potomków i spadkobierców nie potrafi się po dziś dzień do win przodków poczuwać, starając się je przesłonić blaskiem czysto materjalnym nazwiska (patrz w szczególności broszurę „Kabe", str. 26!). Inaczej Tarnowski. W cennej „Domowej kronice dzikowskiej", której fragmenta udostępnił świeżo publiczności prawy dziedzic tradycji ojcowskiej, syn Hieronim, pisze ś. p. Stanisław o ojcu swoim Janie, imienniku wielkiego hetmana, a przez żonę spadkobiercy innej wielkiej spuścizny, Małachowskich:

„Familijnej miłości własnej czy dumy ojciec nie miał żadnej i nas od niej od dziecka chronił troskliwie i mądrze".

Nietylko więc nie był Tarnowski człowiekiem i politykiem klanu, ale — co ważniejsza — przeciwstawił się, i to nie jako młodzik jakiś, zapalny i porywczy, ale jako mąż dojrzały, blisko czterdziestoletni— ówczesnej, kubek w kubek do dzisiejszej podobnej, bo na egoizmie społecznym i prymacie interesów materjalnych opartej, polityce klanu. Czynił to zaś — jak słusznie podkreśla najświeższy jego biograf — „mimo, że wiedział, jaki hałas, krzyk i oburzenie podniesie przeciw sobie". Smagał otaczający go, panoszący się i zatruwający atmosferę moralną klan, w sposób nieubłagany: równorzędne o tych sprawach opinje jego oraz jego przyjaciela Klaczki cytowaliśmy już *in extenso* w „Myśli Narodowej". Streszczały się one w lapidarnem zdaniu Tarnowskiego:

„Wiedeń wiele dobrego zrobił u nas od stu lat swoim przykładem, o bardzo wiele! Zaczął od tego, że ludzi ważniejszych nauczył się płaszczyć, ubiegać za orderami, tytułami, szambelańskiemi kluczami, słowem wielu z nich pozbawił godności, godności swoje im ofiarując...".

Czy dzisiaj, wstawiwszy do słów Tarnowskiego zamiast „Wiednia" inną nam wiadomą, nie otrzymamy zupełnie analogicznego obrazu? A do tych mocnych i śmiałych słów swoich, które zacytowaliśmy wyżej, dodawał Tarnowski w listopadzie t. r., pisząc o „Porcjach":

„Że ostatnim, a raczej pierwszym i największym powodem (złego), jest spadający u nas coraz niżej zmysł uczciwości i honoru, to widoczne i najsmutniejsze. Wśród wszystkich klęsk, jakie się na nas waliły i walą od roku 1863, najgorszą niezawodnie, najniebezpieczniejszą jest moralny upadek. Lichwa nas toczy, gonitwa za pieniądzem upadła...

A więc niech tak będzie, radźmy sobie sami, jak możemy. Ale czy możemy? Moglibyśmy, byleśmy tylko chcieli. Jak? postępując z lichwiarzami maskowanymi, z lichwiarzami porządnymi ludźmi, z lichwiarzami obywatelami, szlachtą, urodzonymi, herbownymi, tytułowanymi, tak jak się postępuje z prostym, zwykłym lichwiarzem ulicznym".

III

W czasach przytępienia moralności publicznej, gonitwy za pieniądzem *par excellence* i złączonego z nim braku reakcji na dodatnie i ujemne zjawiska moralne, na „zgorszenia i nieuczciwości straszne",

[1]) Por. mój artykuł w „Gazecie Warszawskiej" z 4 sierpnia b. r.

„Ahnenverlust“, patologiczna utrata, wyzbywanie i zapieranie się niewygodnych przodków, tkwić musi w inwentarzu używanych powszechnie metod dobrobytu i równowagi społecznej. Bogu dzięki — zjawiska te groźne szerzą się tylko, choć powiedziałbym: żywiołowo, pośród starszej generacji. Młodsza od nich jest wolną. Miałem szczęście to skonstatować w całym szeregu dyskusyj i rozmów z przedstawicielami tego młodszego pokolenia ziemiańskiego, podczas ukończonego właśnie tydzień temu kursu społecznego w Lublinie. Albowiem młodzi a przekonani wyznawcy katolickiej doktryny społecznej, jak dalecy są od koncepcyj mammonistycznych, właściwych różnym, starszym od siebie „panom Napoleonom Bałamuckim z Głupiusiówki nad Szujówką“ (wyrażenia Tarnowskiego!), dalecy są również od wszelkiego *„Ahnenverlust“* czy *„Ahnenverachtung“*.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

NA MARGINESIE „PANA TADEUSZA“

(Dokończenie)

2. DATA UCZTY W SOPLICOWIE

USTALENIU daty uczty, wydanej w Soplicowie na cześć wkraczających na Litwę wojsk polskich, przeszkadza podwójny system kalendarzowy, który przykładano do badań komentatorskich i nieistniejące w kalendarzu święto „Matki Boskiej Kwietniej“. Naprzód należałoby odpowiedzieć na pytanie: czy Mickiewicz świadomie wymyślił święto M. B. Kwietniej, aby, jak chcą niektórzy komentatorzy, uświetnić uroczystość powitania wojsk polskich, czy też wierzył w istnienie tego święta w kalendarzu katolickim. Sprawy tej wprawdzie niepodobna rozstrzygnąć, będziemy wszakże bardzo bliscy prawdy, gdy powiemy, że wspomnienia chłopięce, któremi dysponował Mickiewicz jako najważniejszym materjałem podczas tworzenia obrazów jedenastej księgi poematu, zawierały reminiscencje jakiegoś uroczystego święta kościelnego, przypadającego akurat w czasie wkroczenia wojsk polskich do Nowogródka. Tem zaś świętem absolutnie nie może być uroczystość Zwiastowania N. M. P. (25 marca), ponieważ 1) ruchy wojsk nie odpowiadają temu terminowi, a 2) nigdy chyba dzień Zwiastowania N. M. P. nie odznaczał się obfitością zieleni, nawet podczas najwcześniejszej wiosny, a nie dopiero w 1812 r., gdy wiosna była bardzo późna. O „snopkach ziela“ nie może być mowy 25 marca, a że lud na Litwie, jak podaje prof. Pigoń, w dniu tym obchodzi święto wiosny, to tylko dlatego, że przypada ono w porze porównania dnia z nocą: triumfu wiosny i śmierci zimy.

Również powinniśmy zarzucić mniemanie, że za podstawę obrazu poeta wziął święto M. B. Zielnej (15 sierpnia), gdyż w poemacie niema nic o święceniu ziół, jeno o przystrajaniu zielenią kościoła, ołtarza i t.d.

> „Wszystko wkoło ubrane w bukiety i wianki
> Ołtarz, obraz, a nawet dzwonnica i ganki“.

Aby więc odpowiedzieć na pytanie, z którem świętem uroczystem skojarzyło się nierozerwalnie w pamięci autora wkroczenie na Litwę wojska polskiego, czyli aby ustalić datę uczty w Soplicowie, musimy rozpatrzeć się w świętach okresu Wielkanocnego. Ale przedewszystkiem musimy obliczenia kalendarzowe prowadzić według jednego stylu i naturalnie starego, Juljańskiego, gdyż tylko ten styl obowiązywał na Litwie.

Prof. Pigoń, którego komentarz do „Pana Tadeusza“ możemy przyjąć za kwintesencję wszystkich poprzednich komentarzy, dla ustalenia daty uczty w Soplicowie, jak również przy określaniu ruchów wojska napoleońskiego, posiłkuje się kalendarzem nowego stylu (str. 449 *ad* w. 154). Z komentarza prof. Pigonia dowiadujemy się, że w 1812 r. Niedziela Palmowa przypadła 22 marca, a więc Wielkanoc — 29 marca. Tak było rzeczywiście, ale według nowego stylu. Tymczasem według starego stylu Wielkanoc przypadła o wiele później, jak to zwykle bywa, gdy pełnia księżycowa, od której zależy Wielkanoc, przypada w końcu marca. Wówczas stary styl przenosi święto Wielkiejnocy na niedzielę po pełni kwietniowej i różnica między jedną a drugą wynosi prawie miesiąc czasu. Potwierdzenie tego mamy w „Pamiętnikach kwestarza“ Chodźki, gdzie na str. 185 (wydanie 1879 Wilno) wkroczenie wojska francuskiego do Wilna zapisano pod dniem 16/28 czerwca z adnotacją, że była to Niedziela Św. Trójcy starego stylu. Wiemy zaś, że Niedziela Św. Trójcy t. j. pierwsza po Zielonych Świątkach przypada 57-go dnia po Wielkiejnocy. Odjąwszy przeto od 16 czerwca st. st. 57 dni — otrzymamy datę Wielkiejnocy starego stylu — 21 k w i e t n i a, a nowego — 3 maja $\left(\frac{\text{21 kwietnia}}{\text{3 maja}}\right)$. Teraz możemy ustalić daty świąt okresu wielkanocnego; więc: Wniebowstąpienie $\frac{\text{30 maja st. st.}}{\text{11 czerwca n. st.}}$; Zielone Świątki $\frac{\text{9 i 10 czerwca st. st.}}{\text{21 i 22 czerwca n. st.}}$; Niedziela Św. Trójcy $\frac{16}{28}$ czerwca; Boże Ciało $\frac{\text{20 czerwca st. st.}}{\text{2 lipca n. st.}}$; Oktawa Bożego Ciała $\frac{\text{27 czerwca st. st.}}{\text{9 lipca n. st.}}$.

Załatwiwszy się ze świętami, przejdźmy teraz do ruchów wojska napoleńskiego. Dnia 11/23 czerwca Napoleon z kwatery w Wołkowyszkach wydał proklamację do wielkiej armji i rozpoczął pochód ku Niemnowi. 13/25 czerwca przeprawił się przez Niemen, a 16/28 VI zajął Wilno. Był to, jak wiemy, dzień Św. Trójcy st. st., należący do okresu Zielonych Świątek.

Trzecia armja, w której były wojska polskie pod dowództwem ks. Józefa, jak podaje prof. Pigoń w swym komentarzu, posuwała się wolno i dopiero 17/29 i 18/30 czerwca przekroczyła Niemen. Uznawszy te daty za prawdziwe, nie możemy nie zwrócić uwagi na różnicę w datach dalszego pochodu III armji. Według prof. Pigonia (str. 445 do wier. 79) książę Józef stanął w Nowogródku 9 lipca (27 czerwca), tymczasem Fr. Skarbek w „Dziejach Księstwa Warszawskiego“ podaje, że 9 lipca Davoust, który objął komendę III armji po królu Hieronimie, był już w Mińsku, gdzie go ludność przyjmowała owacyjnie. Możemy raczej zgodzić się z hr. Skarbkiem, gdyż inaczej trzeba byłoby przypuścić, że cała III armja pozostała w tyle za innemi. Skoro zaś Davoust 9-go lipca był już w Mińsku (a z nim naturalnie i korpus polski), to z naszych kombinacyj kalendarzowych odpada ostatnie święto: Oktawa Bożego Ciała, przypadające akurat w tym samym dniu $\frac{\text{27 czerwca}}{\text{9 lipca}}$.

Nie możemy również przywiązywać wagi do dnia Św. Trójcy 16/28 VI, gdyż w dniu tym — a była to niedziela — III armja była jeszcze za Niemnem.

Rachubom naszym odpowiadają przeto święta, leżące w obrębie krańcowych dat 30/VI n. st. i 9/VII n. st. czyli — Boże Ciało $\frac{\text{20 czerwca}}{\text{2 lipca}}$ i niedziela w obrębie Oktawy Bożego Ciała $\frac{\text{23 czerwca}}{\text{5 lipca}}$.

Obie daty mają dla nas jednakową wartość, albowiem obie przypadają w okresie Zielonych Świątek (st. st.), czyli w okresie majenia, ubierania zielenią kościołów, ołtarzy, domów i t. d. bardziej jednak skłaniamy się ku pierwszej, gdyż święto Bożego Ciała jest uroczystością wielką, która mogła w umyśle młodocianego Mickiewicza wzbudzić specjalnie niezgładzone wrażenia obfitością zieleni, używanej w dniu tym do przybierania ołtarzy, kościołów, a nawet „dzwonnicy i ganków". Byłaby więc to data: 20 czerwca st. st. — święto Bożego Ciała; podług nowego stylu będzie to — 2 lipca, święto Nawiedzenia Matki Boskiej. Mamy więc i uroczystość Matki Boskiej, której jednakże nikt nie nazywa „kwietnią", bo takiej wogóle niema.

Ale i następna zaraz niedziela $\frac{\text{23 czerwca}}{\text{5 lipca}}$ ma pewne szanse w naszych wywodach; mieć je może każdy nawet zwykły dzień, począwszy od Zielonych Świątek aż do Oktawy Bożego Ciała, wiemy bowiem, że w tym 17 dniowym okresie ludność wiejska i miejska otacza się zielenią, strojąc nią przedewszystkiem kościoły i ołtarze. Skoro zaś we wspomnieniach Mickiewicza wejście wojsk polskich wiąże się z pojęciem święta kościelnego, to świętem tem najprawdopodobniej jest: Uroczystość Bożego Ciała 20 czerwca st. stylu i przypadające w tymże dniu święto Nawiedzenia Matki Boskiej 2 lipca n. st., święto dziś nie obchodzone uroczyście, lecz w owym czasie bardzo solenne, zwłaszcza w klasztorach bernardyńskich.

Katolicy obrządku wschodniego — unici posiłkowali się starym stylem.

Datą uczty w Soplicowie jest więc: $\frac{\text{20 czerwca}}{\text{2 lipca}}$ 1812 r.

3. KARCZMA W SOPLICOWIE

Do osobliwości polskiego pejzażu zaliczamy i karczmę, stojącą gdzieś na końcu wsi, lub samotnie na rozstajnych drogach. Szczegółu tego nie mógł pominąć Mickiewicz w opisie rodzinnego kraju, gdyż karczma jest powszednią i integralną składową częścią pejzażu polskiego i polskiego życia.

W „Panu Tadeuszu" mamy odrazu dwie karczmy:

„Dwie chyliły się karczmy, po dwóch stronach drogi."

Szczegół na dzisiejsze czasy całkiem niemożliwy, lecz w czasach Mickiewicza może dość powszedni, z którego możemy wyprowadzić pewien wniosek — mianowicie ten, że kształty karczem, jak i miejsce, gdzie stały, nie są wyimaginowane przez autora, lecz są wspomnieniem istniejącego terenu, rzeczywistych karczem, które dawniej może dałoby się odszukać w okolicach opisanych w „Panu Tadeuszu". Dziś zapewne nie zostało z nich śladu.

Ale mniejsza o to. Ważniejsze są przeoczenia jakich dopuścił się autor w opisie starej karczmy. Pierwsze — to niewłaściwe zastosowanie nazwy „cyces", dawno już zauważone i poprawione przez komentatorów. Drugie — musimy traktować poważniej; dotyczy zaś struktury karczmy i pochodzenia (że się tak wyrażę) stylu budowli. Mickiewicz opisuje karczmy tak:

„Nowa karczma nie była ciekawa z pozoru
Stara wedle dawnego zbudowana wzoru,
Który był wymyślony od syryjskich cieśli
A potem go żydowie po świecie roznieśli"...

Czy Mickiewicz napisał ten ustęp tylko dla usprawiedliwienia następnego, w którym bardzo malowniczo przyrównuje karczmę soplicowską do arki Noego, do świątyni Salomona i do modlącego się żyda — czy też to było jego mniemanie ustalone? A jeżeli tak — to zapytać musimy, skąd Mickiewicz posiadł wiadomości—nieznane nie tylko u nas, ale i w całym cywilizowanym świecie. Niema śladu, aby przez naśladownictwo kultury żydowskiej powstały jakieś budowle u narodów europejskich. Wogóle zresztą cała t. zw. hebrajska, żydowska kultura, zdaje się być mieszaniną kultur sąsiednich narodów, pod których panowanie kolejno się dostosowali. Sami niczego nie zbudowali, a więc nikomu niczego przekazać nie mogli, bo nawet świątynię Salomona stawiali „Hiramscy cieśle". Nie posiadając własnej kultury, bez większego żalu rozproszyli się po świecie, przyjmując kulturę narodów, wśród których czasowo zamieszkiwali, tylko wiara i obrządek mojżeszowy były spoidłem, łączącem wszystkich żydów i nie pozwalającem na wynarodowienie.

Tem dziwniej przeto brzmią słowa Mickiewicza, wychowanka Litwy, krainy lasów, gdzie budownictwo drzewne, uprawiane od wieków, musiało wytworzyć pewne cechy budowania, a kształt i coś w rodzaju stylu mogło otrzymać i z Polski i z Moskwy, której budownictwo drzewne ma charakter osobliwy i gdzie cieślą jest bez mała każdy włościanin. W Rosji do dnia dzisiejszego z powodu obfitości lasów budownictwo drzewne rozwija się i kształci. W Polsce natomiast — zanika; cegła wyrugowała drzewo — ale w czasach Mickiewicza było chyba inaczej i ilość drewnianych budowli, które dziś staramy się zachować i otaczamy pieczą jako drogie pamiątki — była bez porównania większa i obfitsza w kształty. Każdego miłośnika dawnej Polski, owej Polski „drewnianej", wprawia w przyjemne wzruszenie widok starego zabytku drzewnego budownictwa. Byli i są miłośnicy, którzy zgromadzali widoki takich budowli, a na pierwszem miejscu postawić trzeba ś. p. Zygmunta Glogera, który w dziele (niestety nieukończonem): „Budownictwo w dawnej Polsce", zgromadził wizerunki setek kościołów, dworów, chat, lamusów, wrót, karczem i innych tworów polskiego topora ciesielskiego i piły. Serce się raduje na te szczegóły i ozdoby z drzewa wyrobione, ale jednocześnie ogarnia nas smutek, gdy sobie uświadomimy, że tylko marna cząstka dotrwała do naszych czasów: zginęło piękno dawnej Polski, ustępując miejsca kosmopolitycznej szarzyźnie. Przyjrzawszy się kościołom, dworom, dworkom, chałupom i karczmom, widzimy, że kształty ich i piękno z jednego powstały źródła, zbudowała je przemyślność jednego narodu i tym narodem jesteśmy my, nasi dziadowie i pradziadowie. Niema tu miejsca na zdanie Mickiewicza:

„Rodzaj architektury, obcym budowniczym
Wcale nieznany: my go od żydów dziedziczym".

Od żydów można co najwyżej dziedziczyć niechlujstwo i „krzywe kolumny". To też słusznie mówi Z. Gloger w artykule „Budownictwa drzewnego" pod wyrazem „Karczma":

„Wielki wieszcz był dokładnym malarzem, gdy chodziło o odzwierciadlenie tego, co widział zamłodu w ojczyźnie, ale padł ofiarą bujnej fantazji, gdy chciał wysnuć źródłowy pierwiastek budownictwa karczem litewskich"...

Zresztą karczmy tylko dzierżawili żydzi, właścicielami zaś i budowniczymi było obywatelstwo ziemskie: szlachta i klasztory.

STEFAN KRAJEWSKI

LIBERUM VETO

Przymusowe zbrodnie.—Pacyfizm w teorji i w praktyce.—Utopja i podstęp. — Armje i bojówki — Barbarzyństwo komunizmu.

OD tylu tysięcy lat, ile liczy kultura moralna, ludzie żyją ciągle pod przymusem gwałcenia zasad, które uznają za niewzruszone, czcigodne, święte. Powtarzają w przykazaniu: nie zabijaj— i zabijają, nie kradnij — i kradną. A czynią to nie zbrodniarze, lecz uczciwi, którzy nie chcą kraść ani zabijać i którzy w ten sposób muszą się bronić. Jest to wielka tragedja świata i zarazem jego hańba. Z wyjątkiem bohaterów, którzy walczyli w imię swojego narodu, czuję głęboki wstręt do wszystkich wielkich wodzów, prowadzących wojny dla chwały własnej lub grabieży, do Wallensteinów, Fryderyków, Suworowów, Napoleonów i nie mogą przejść przez plac Napoleona w Warszawie bez odrazy do tej nazwy, czczącej pogromcę narodów, który nietylko podstępnie zawiódł nadzieje łatwowiernych Polaków, ale ponadto jeszcze wciągnął ich do współwiny w mordowaniu broniących swej niezależności Hiszpanów. Rozumiem wielbicieli wojska jako czujnej, bohaterskiej straży, ochraniającej od wrogów swoją ojczyznę, ale nie mogę pojąć uwielbienia dla uzbrojonej gromady bez względu na jej przeznaczenie. Jest to zupełnie zrozumiałem i naturalnem tylko w duszach samic, zachwyconych widokiem zbrojnych mundurów i wiele obiecującej tężyzny męskiej.

W Europie i Ameryce rozszerza się obecnie pacyfizm — dążność do zniesienia stałych armij i wojen. Jest to idea stara, objawiała się w rozmaitych sferach kultury, począwszy od filozofji, a skończywszy na sektach religijnych. W ostatnich czasach najwymowniejszym i najradykalniejszym jej rzecznikiem był Tołstoj, a jako gwiazda przewodnia przyświeca socjalizmowi. Znalazła się ona obecnie na sztandarze międzynarodowego zrzeszenia, które wystąpiło do walki z militaryzmem, nakłania państwa do rozbrojenia i „wiecznego pokoju". Jeżeli tę dążność zważymy w oderwaniu od rzeczywistości, trudno jej odmienić uroku szlachetności.

Bo czy można wyobrazić sobie coś piękniejszego i zacniejszego, niż życie narodów w zgodzie i sprawiedliwości, wolne i zabezpieczone od krwawych starć, gwałtów, mordów i grabieży, regulowane jedynie prawem i moralnością? Prawdziwy raj ziemski, w którym wilki obcują przyjaźnie z owcami, a jastrzębie ścielą swe gniazda obok gołębi. Gdyby tegoczesny pacyfizm był bezwzględny i szczery, możnaby go szanować jako idealną utopję. Ale w nim kryje się nikczemny i zdradziecki podstęp. Wierzymy, że w gronie jego wyznawców znajdują się szlachetni marzyciele, pragnący szczerze, ażeby cała ludzkość odzwierzęciła się, ażeby wyłamała sobie stalowe kły i pazury, ażeby zaprzestała dzikich walk, nikczemnych podbojów, okrutnych mordów i tyrańskich ujarzmień. Ale śród nich jednak przyczaili się kłamcy i obłudnicy, którzy ewangelicznem apostolstwem usiłują rozbroić inne narody, ażeby tem łatwiej niemi zawładnąć. Z zupełną słusznością można o to podejrzewać nadewszystko Niemców i Anglików, dwa narody najbardziej zaborcze i podstępne. Ich pacyfizm wyraźnie brzmiałby tak: Wojna jest barbarzyńskim przeżytkiem, wielkiem nieszczęściem, a jako napastnicza — ohydną zbrodnią. Trzeba ją uniemożliwić i jej pokusy udaremnić. Ażeby ten cel osiągnąć, wszystkie narody powinny się rozbroić i zachować sobie tylko milicję dla utrzymania porządku wewnętrznego. My, Niemcy i Anglicy nie zniesiemy naszych wojsk, tylko je ukryjemy i zamaskujemy w rozmaitych postaciach: warty pogranicznej dla tamowania przemytnictwa, straży pożarnej, towarzystw gimnastycznych i sportowych, wykształcenia fizycznego, związków strzeleckich, drużyn skautowych, załóg okrętowych i t. p. Ta tylko będzie różnica, że nasi żołnierze schowają mundury i przywdzieją ubrania cywilne. Gdy to nastąpi, wtedy wyprowadzimy ich z ukrycia, złożymy w regularne armje i rzucimy się nagłym ruchem na wszystkie rzeczywiście rozbrojone, łatwowierne i do obrony nieprzygotowane narody, które pokonamy i ujarzmimy nawet bez rozlewu krwi. Tak wygląda pacyfizm nienasyconych zdobywców świata.

Nie potrzeba szczególnej mądrości i przenikliwości, ażeby dostrzedz ten potrzask. Mamy inny.

Od czasu do czasu wybucha w naszej prasie oburzenie na wojnę wewnętrzną i utrzymywanie bojówek partyjnych. Są komunistyczne, socjalistyczne, żydowskie i t. d. We wszystkich manfestacjach, pochodach, strajkach i t. zw. „świętach" klasowych ukazują się nagle uzbrojone zastępy, które zabijają i sieką przeciwników zupełnie jawnie, nie wywołując żadnego śledztwa sądowego. Są to więc małe armje stałe, zorganizowane i uprawnione. Ile razy — jak to zdarzyło się niedawno — jacyś partyjnicy zostaną pokaleczeni i pomordowani, ich towarzysze podnoszą krzyk zgrozy i skargi na zdrożności bojówek i domagają się ich zniesienia. Mamy więc znowu pacyfistów i znowu taką ich teorję pokoju: „Wszystkie bojówki powinny być rozwiązane i zakazane, z wyjątkiem naszych, które pozostaną pod postacią straży partyjnej. Gdy inne znikną, nasza będzie mogła bić i mordować bez oporu". Z dwojga lepsze chyba są armje państwowe, niż bojówki partyjne. Tam przynajmniej istnieje jakiś ład, regulamin, kontrola publiczna i odpowiedzialność prawna, tu samowola, gwałt i bezkarność. Ponieważ zaś najgorliwszymi pacyfistami są posiadacze bojówek, socjaliści i komuniści, przeto albo niech je u siebie skasują, albo niech przestaną grzmieć przeciwko militaryzmowi politycznemu. Dla wygody i korzyści wojujących pacyfistów inni ludzie — a jest ich przecie znacznie więcej — nie mogą wyrzec się ani logiki moralnej, ani środków bezpieczeństwa. Jest to może wymaganie bardzo obrażające „zbawców i sędziów świata", którzy pragnęliby posiadać monopol łamania oporu gwałtem i bezprawiem, ale bardzo naturalne i nie dające się zwalczyć najzręczniejszą i najbezczelniejszą sofistyką. Ci, którzy szczerze wołają: precz z wojskami, nie przestaliby również wołać: precz z bojówkami! Niech zapanuje „wieczny pokój", ale powszechny, bez wyjątków i przywilejów. Wtedy możnaby głosować za zniesieniem wszelkich zorganizowanych, małych i wielkich gromad zbrojnych. Dopóki to nie nastąpi, pacyfizm dwutwarzowych apostołów, którzy żądając udaremnienia wojen, jednocześnie ogłaszają „walkę klas" i posługują się w niej bojówkami, będzie tylko obłudną i wykrętną blagą. Wogóle blaga, będąca mieszaniną obłudy, przewrotności, kłamstwa, sofistyki, karmi dziś głównie naiwność łatwowiernej i ciemnej masy ludzkiej, którą można łatwo odurzyć pustym, byle szumnym frazesem. Ideje braterstwa, sprawiedliwości, szlachetności podszyto brudną spekulacją w nadziei, że krótkowzroczny tłum nie odwróci ich i pod pięknym wierzchem nie dostrzeże szpetnego spodu. Pacyfizm w teorji jest jasnem światłem, w praktyce — zdradzieckim ognikiem, wabiącym w bagna. Owszem, niech się rozbroją państwa, ale wszystkie, niech znikną armje, ale wszystkie, niech się rozwiążą bojówki partyjne,

ale wszystkie, wtedy wszyscy bez wyjątku ogłosimy nową erę życia ludzkości. Dopóki nie nastąpi ogólny przełom w pojęciach, dążeniach, zamiarach, ustrojach politycznych i społecznych, dopóki w stosunkach międzynarodowych nie zapanuje prawo i szczerość, czyli święta a tak zbezczeszczona, sponiewierana i zgwałcona moralność, dopóty potępianie i wyszydzanie militaryzmu, a sławienie pacyfizmu uważać będziemy za kłamstwo i oszustwo. Rozrachunek roszczeń i sporów między małemi i wielkiemi zrzeszeniami ludzkiemi musi dokonywać się rzetelnie. Inaczej utrwali się dalej to, co się dziś nazywa „polityką", a w gruncie rzeczy jest szachrajstwem, podstępem i gwałtem. Ażeby narody mogły istnieć śród tego rozstroju moralnego, pod ciągłą groźbą napadu, grabieży i mordu, jedynem ubezpieczeniem jest wojsko, a jedynym ratunkiem wojna. Jeżeli mamy do wyboru albo zginąć, albo bronić się środkami barbarzyńskiemi, musimy wybrać barbarzyństwo. Tak mówią wszystkie narody osaczone przez wrogów, tak mówi Polska. Okiełznajcie panowie pacyfiści Niemców i Rosjan, a my natychmiast zniesiemy armję. My nie zapomnimy, że nas przed stu kilkudziesięciu laty nakłoniły i zmusiły do tego oba te państwa, ażeby nas rozebrać bez oporu.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

USYPIANIE CZUJNOŚCI NARODU

TAK nas przyzwyczajono do tego, że kiedy się ma władzę w ręku, to na opinję publiczną wystarczy metoda oszustwa, że społeczeństwo bezradnie uśmiecha się tylko, jak dziecko, gdy oszustwo jest znane. Tak się dzieje nawet w zakresie spraw, tyczących się naszego stanowiska mocarstwowego, nawet całości naszego państwa.

Obecnie prasa „sanacyjna" głosi wielkie zwycięstwo polityki polskiej z powodu ponownego wybrania Polski do Rady Ligi Narodów. Wmawiają w nas, że to właśnie jest wynikiem naszej biernej roli w Hadze. Prasa narodowa jest terroryzowana zarzutem nielojalności, gdy oświetla rzeczywistość nad wyraz smutną. Dlatego przytaczamy opinję „Dnia Polskiego", współpracującego z rządem. Odezwało się w nim sumienie, że jednak oszustwo idzie za daleko:

„Komentarze zarówno „Epoki", jak i Polskiej Agencji Telegraficznej, są nie na miejscu, bo grzeszą przesadą i nie odpowiadają rzeczywistości. Polska stała się państwem silnem nie dopiero teraz, gdy ponownie została wybrana do Rady Ligi Narodów, ale była niem już znacznie wcześniej, od chwili, kiedy odzyskała niepodległość. Mówić o Polsce, że w ciągu trzech lat, „składała egzamin", brzmi niemal upokarzająco. Niech to sobie piszą inni, przedewszystkiem Niemcy, ale tego rodzaju komentowanie wyboru Polski do Rady Ligi Narodów przez Polską Agencję Telegraficzną jest co najmniej niewłaściwe.

Unikajmy przesady, bo jest ona śmieszna, a często również—bardzo szkodliwa. Ponowny wybór Polski uważajmy za słuszny, logiczny i sprawiedliwy, a nie traktujmy go jako nagrodę za dobre sprawowanie. Cieszmy się z sukcesu, odniesionego w Genewie, lecz nie przejaskrawiajmy jego znaczenia, bo samo należenie do Rady Ligi Narodów nie usuwa automatycznie tych wszystkich trudności, jakie się piętrzą przed nami na terenie polityki międzynarodowej. Pozostają one i nadal i nadal trzeba będzie wielkiej energji i czujności zarówno ze strony rządu, jak i społeczeństwa, żeby je zwalczyć lub przynajmniej szczęśliwie ominąć".

Przyjrzyjmy się, jak wyglądają nasze triumfy wobec realnych zdobyczy niemieckich. Socjalistyczny „*Vorwärts*" (Nr. 121) potrafi pisać z dumą, uzasadnioną niestety:

„Odparta została teraz na zawsze polityka francuska, zdążająca w ostatnich niebezpiecznych latach do oderwania Nadrenji, a przynajmniej do roztoczenia jakiegoś protektoratu francuskiego nad tym terenem...

Ilu z tych, co dzisiaj są jeszcze niezadowoleni z wyników konferencji w Hadze, miało wówczas (przed sześciu laty) wiarę w to, że w r. 1930 Nadrenja znajdzie się znowu pod zwierzchnictwem niemieckiem i że zostanie uwolniona od załogi?

Uratowanie Nadrenji, a przez to i Niemiec, odmarsz obcych wojsk, powrót niemieckiego zwierzchnictwa państwowego, i utwierdzenie granic państwa — oto narodowe zdobycze republiki.

Skierowała ona swoją politykę oswobodzenia (*Befreiungspolitik*) do pierwszego wielkiego celu. Cieszymy się tem bardziej, że to służy do uspokojenia Europy".

Podczas gdy masonerja przy pomocy „Epoki" i swego pełnomocnika do spraw prasowych p. W. G. jawnie wprowadza w błąd opinję, wmawiając, że „polityka p. Zaleskiego dawała nam i daje sukcesy namacalne i że realizmu tych zdobyczy nie przysłonią przed naszą opinją publiczną koszmarne wizje prawicowych pisarzy, wymyślających coraz inne strachy na Lachy", jednocześnie telegramy donoszą, że b. kanclerz Luther wygłosił na obchodzie patrjotycznym mowę specjalnie o planach niemieckich co do Polski. Mówił tam:

„Potrzebujemy Wschodu dla naszej przyszłości — mówił b. szef rządu — jak najostrzejszą walkę wypowiadamy obecnym stosunkom granicznym na Wschodzie. Żadne względy rozumu ani sprawiedliwości nie przemawiają za stworzeniem korytarza".

A Polska co uzyskała, żeby się od grożącego gwałtu zabezpieczyć? „Strachy na Lachy" — ironizuje żydowska masonerja. Oczywiście Lachy dla nich są śmieszne, że nie chcą iść w niewolę do Niemców. Nigdy agentury obce nie były w Polsce tak zuchwałe.

KONGRES ŻYDOWSKI

MONACHIJSKI „*Völkischer Beobachter*", donosząc o wielkim kongresie żydowskim, który odbył się w Zurychu, a w którym wzięli udział najznakomitsi potentaci żydowscy, podkreślił współczesność tego kongresu z konferencją haską i z projektami utworzenia Banku Wszechświatowego. W kongresie wzięło udział 4,000 przedstawicieli żydów z różnych państw, należących do różnych kierunków, zarówno kapitalistów, jak żydowskiego proletarjatu. Prezydentem honorowym był baron Edmund Rotszyld z Paryża; obok wielkich kapitalistów, jak Warburg, Marshall i berliński Wassermann, zasiadali przywódcy żydowskiego proletarjatu Anglji, jak Kaplański i przywódca socjalistów francuskich, Leon Blum, który w przemówieniu swojem podkreślił, że nigdy nie zaparł się swej rasy. O różnorodności reprezentowanych w kongresie kierunków mówił między innymi w swem przemówieniu prof. Einstein.

Mowa prof. Weizmanna świadczyła o tem, jak wielką wagę przywiązywali uczestnicy do kongresu, podkreślał on bowiem, że „po raz pierwszy od 2000 lat" wielka część narodu żydowskiego przystąpiła do wspólnej politycznej działalności.

Autor artykułu w „*Völk. Beob.*", przypomniawszy, że o kierownictwo ogólnej polityki żydowskiej toczyła się w różnych krajach od lat walka pomiędzy przywódcami różnych kierunków, podaje, jako znamienny rezultat kongresu fakt, że przywódca światowego syjo-

nizmu, Feliks Warburg z Nowego Yorku, został pierwszym przewodniczącym przedstawicielstwa żydów całego świata. W ten sposób ujawnił się istniejący dotychczas tajnie rząd żydowski i wszelkie tylokrotne zaprzeczenia ze strony żydowskiej, że żydzi nie prowadzą własnej światowej polityki, upadają teraz same przez się. Na kongresie mówiło się oficjalnie, że chodzi jedynie o sprawę Palestyny, wobec czego artykuł przypomina, że właśnie z ust twórcy syjonizmu, Herzla, padły słowa: „Będziemy się od dołu proletaryzowali i tworzyli oficerów dla wszystkich partyj rewolucyjnych, a jednocześnie wzrastać będzie od góry nasza potęga finansowa". Kongres Zurychski, zajmując się nawet głównie sprawą Palestyny, obejmować musiał szeroko sprawy ogólno-światowej polityki.

W początku września odbędzie się wszechświatowy kongres żydowskich kupców i przemysłowców.

MACIEJ WIERZBINA

ZE ŚWIATA

MOSKWA BEZ OSŁON

CZYTA się tę książkę[1]) z niesłabnącem zainteresowaniem, ze zgrozą, a nieraz z uśmiechem. Ale przeważa groza i wstręt do wszystkiego, co zrobili i robią komuniści w Rosji. Autor, niegdyś konsul belgijski w Rostowie nad Donem, później, w czasie rządów bolszewickich, przedstawiciel misji Nansena, delegat „*European Student Relief*" i członek misji papieskiej, spędził w Rosji trzydzieści pięć lat, z czego dziewięć przypada na czasy bolszewickie. Naocznie tedy mógł przekonać się o skutkach zastosowanego w Rosji komunizmu.

Całą pracę Douillet podzielił na trzy części. W pierwszej omawia sprawy gospodarcze, w drugiej oświatowe, w trzeciej polityczne. Oczywiście nie pomija również zagadnień natury moralnej. Na początku swej ciekawej książki przedstawia autor stosunek rządu bolszewickiego do obcokrajowców. Władcy Rosji pragną za wszelką cenę przekonać wszystkich, zwłaszcza sfery robotnicze innych państw, że to, co pisze prasa zagraniczna, jest kłamstwem. Nie też dziwnego, że rząd sowiecki wydaje bezpłatne wizy i bezpłatne bilety podróży po Rosji. Wycieczkom wszelkim towarzyszy zazwyczaj przewodnik, wyznaczony przez G.P.U. Pokazuje się jednak cudzoziemcom miejsca wybrane: żłobki dziecięce, sierocińce, czynne fabryki i warsztaty, unikając wszystkiego, co mogłoby rządy bolszewickie skompromitować. Autor podaje zabawny wypadek, jaki miał miejsce w czasie zwiedzania przez pewną wycieczkę robotniczą Zagłębia Donieckiego. Na jednej ze stacyj kolejowych zatrzymał się pociąg na godzinę. W pobliżu stacji znajdują się zakłady przemysłowe, nieczynne od kilku lat. Kiedy wycieczka mijała wspomniane zakłady, ze wszystkich kominów wydobywały się kłęby dymu. Poprostu okolicznym chłopom nakazano zwieźć słomę, którą palono w piecach, celem upozorowania, że zakłady są czynne. Wypadek ten podobno nie jest odosobniony. Ludność do cudzoziemców odnosi się nieufnie, gdyż władze nie dozwalają zawierać jakichkolwiek znajomości z obcymi, nakładając surowe kary za przestąpienie tego zakazu.

Posługując się danemi statystycznemi, autor przedstawia smutne następstwa komunizmu w stosunkach gospodarczych. Upadek przemysłu szerzy się w zastraszający sposób. Np. w Zagłębiu Donieckiem w r. 1921 było 909 szybów czynnych, w r. 1922 już tylko 282, w 1926 — 200. Cechuje to wszystkie dziedziny przemysłu. Rozważając kwestję robotniczą w Rosji, Douillet pisze o strasznej nędzy robotników, o wielkiej liczbie bezrobotnych i o płacach, wystarczających ledwie na chleb. Przyczem pensje wypłacane są z paromiesięcznem opóźnieniem. We wszelkich manifestacjach robotnicy muszą uczestniczyć, gdyż listy obecności są kilka razy sprawdzane.

Rząd bolszewicki, licząc się z ludnością na roli osiadłą, a stanowiącą 90% mieszkańców Rosji, poczynił zobowiązania na rzecz chłopów, zobowiązania, których nie wypełnił. Ziemie zagrabione oddał fermom komunistycznym i różnym koncesjonarjuszom zagranicznym (Krupp, Nansen, żydzi i t. d.). Podatki, zamiast obniżyć, podwyższono, obciążając niepomiernie chłopów. Niejednokrotnie ściąga się je, mordując opornych. Pomimo głodu i nędzy, wywozi się zboże z Rosji w celach propagandowych. Wybory na wsiach odbywają się pod grozą rozstrzelania.

Przechodząc do spraw oświatowych, autor stwierdza upadek nauki i oświaty wogóle. Np. w mieście Nowolkuszowskaja przed rządami sowietów istniały dwa gimnazja (męskie i żeńskie) oraz sześć szkół państwowych i dwie prywatne. Obecnie istnieje tylko gimnazjum koedukacyjne. Ilość szkół wszędzie bolszewicy zmniejszają. Opłaty za naukę podwyższono i pobiera się je bezwzględnie. Za nieuiszczenie opłaty w terminie dzieci usuwane są ze szkół. Nauka polega raczej na kształceniu komunistów. W Rostowie w r. 1925 siedemnastu uczniów (w wieku od 12 do 15 lat) pozostawiono na drugi rok, ponieważ nie wiedzieli, co postanowiły XIV i XV kongres sowiecki... Przy wręczaniu dyplomu doktora medycyny p. Antoninie J. na Uniwersytecie Dońskiem, skierowano do niej następujące słowa: „Republika sowiecka wydaje pani dyplom doktora medycyny. Niech pani jednak nie zapomina, że jej obowiązkiem nietylko jest dbać o ciało swych pacjentów, ale także poznawać ich zapatrywania polityczne. Człowiek chory jest wylewny i szczery wobec lekarza.. Lekarz w takich razach musi być gotowy do obrony rewolucji podobnie, jak czekista lub agent G.P.U. Niech pani pamięta, że będzie pani odpowiadała w razie nie powiadomienia G.P.U, o kontrrewolucyjnych poglądach pacjenta". (str. 95). Na uniwersytecie tym decydowali o promocji studenci-komuniści (t. zw. „trojka"), którzy zawsze byli obecni na egzaminach.

Za rządów bolszewickich powstał nowy uniwersytet im. Swierdłowa. Przyjmuje się do niego tylko z elementarnem wykształceniem, a kształci na komisarzy bolszewickich. Przeważnie uczęszczają tu żydzi (ci zawsze i wszędzie!), Czuwasze, Czeremisy i t. d.

Dużo miejsca autor poświęca dzieciom, pędzącym żywot na ulicy. W roku 1927-ym taki żywot pędziło pięć miljonów młodzieży. Oczywiście, nie może być tu mowy o jakiejś moralności pośród tej olbrzymiej gromady opuszczonych. W Rostowie dziewczęta dwunastoletnie oddają się za parę kopiejek lub za kawałek chleba. A dzieje się to pod opieką policjanta, który za 20 kop. odstępuje na ten cel swoją budkę. G. P. U. zaś wykorzystuje te biedne dzieci dla celów szpiegowskich. Rząd bolszewicki zakłada sierocińce, ale np. w 1926 roku mogło pomieścić się zaledwie 206.000 dzieci. Przytem sierocińce te urządzone są niehygienicznie i niema w nich opieki wychowawczo-moralnej. Są to raczej domy publiczne nieletnich.

[1]) Douillet Joseph „*Moscou sans voiles (Neuf ans de travail au pays des Soviets)*". *Paris*, 1928, str. 252. *Editions Spes*, 17 *rue Soufflot*, 12 fr.

Nowe pokolenie, wyrosłe w atmosferze bolszewizmu, odznacza się całkowitym upadkiem moralności i zanikiem wartości obyczajowych. Władze zmuszone są wydawać najrozmaitsze rozporządzenia, jak np. zakaz popychania obywateli na ulicach, zrywania ubrań z przechodniów, plucia na ludzi i t. p.

Skutkiem upadku moralności szerzą się w bezprzykładny sposób choroby weneryczne. Pośród studentów 75% dotkniętych jest temi chorobami. Na północnym Kaukazie 95% jest zarażonych.

Religja — jak zresztą wiadomo z prasy codziennej — jest zwalczana najrozmaitszemi metodami. Nie przeszkadza to jednak, że religijność wzrasta, zwłaszcza wśród robotników.

Omawiając sprawy polityczne i organizacyjne, autor stwierdza, że władza sowiecka jest dyktaturą partji komunistycznej. Na 150 miljonów ludności w Rosji, tylko 733.174 należy do partji komunistycznej. Pośród faktycznych komunistów, 75% stanowią „komuniści dla chleba". Partja składa się z tak zw. jaczejek, podlegających powiatowym komitetom tak zw. Ukomom, Ukomy zależne są od guberjalnych Gubkomów, Gubkomy od prowincjonalnych Krajkomów. Na czele zaś partji stoi komitet Centralny, kierowany przez Politbiuro (Biuro Polityczne), na którego usługach jest Objedinionnoje Gosudarstwiennoje Politiczeskoje Uprawlenje (G. P. U.), powstałe z t. zw. „czerezwyczajki" (Czerezwyczajnaja komisja). Rada Komisarzy Ludowych (Sownarkom) i Wszechrosyjski Centralny Komitet Wykonawczy (Wcik), chociaż są organami władzy wykonawczej, zależą od G. P. U., która ma doskonale zorganizowaną obsługę informacyjną (Infag). Tajnymi agentami w G. P. U. są komuniści, milicjanci, komsomolcy, reemigranci, ułaskawieni przestępcy i dzieci z ulicy.

Autor również dużo miejsca poświęca więzieniom (str. 199—230), zapełnianym przez G. P. U. Są to obrazy wzbudzające w czytelniku grozę, wstręt i oburzenie. Następnie Douillet przedstawia działalność komunizmu rosyjskiego za granicami Rosji. Centrala, kierująca wznieceniem rewolucji wszechświatowej, ma siedzibę w Moskwie (Komintern). Ogromne sumy idą na ten cel. Sam autor stwierdził, że w Rzymie dr. Scheftel, przedstawiciel sowieckiego Czerwonego Krzyża i dr. Maffi, komunista włoski, pośredniczyli w przesyłce pieniędzy bolszewickich do Włoch. Na terenie Czechosłowacji pośredniczył ambasador sowiecki w Pradze, Antonow Owsiejenko. Pieniądze na akcję wywrotową rzuca rząd bolszewicki do wszystkich krajów. Niema takich miast w Europie, gdzieby nie znajdowały się, sekretnie istniejące, „czerezwyczajki". Mają one wszystkie informacje o działaczach społecznych i politycznych, posiadają listy osób, które w przyszłości należy stracić.

Autor kończy swą cenną książkę ostrzeżeniem przed niebezpieczeństwem grożącem całej ludzkości.

Kraków. MIECZYSŁAW WOJTASZEWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

BREDNIE O REFORMIE SZKOLNEJ

„GŁOS PRAWDY" w numerze 242 z 4 września pomieścił niepodpisany dłuższy artykuł p. t. „Zdobycze i błędy w dziele wychowania i kształcenia". Artykuł ten jest do pewnego stopnia typowym okazem bezkrytycznych bredni, jakie powstają, jeśli chce się w każdej dziedzinie okres raju na ziemi zaczynać od wypadków majowych. „Głos Prawdy" twierdzi, że w szkolnictwie „okres masowych doświadczeń uważamy za skończony" i stwierdza „objektywnie", że eksperymenty te, dokonywane w czasach różnych i wielu rządów z okresu przedmajowego, w dobie pogoni za wzorami, były zawsze nakazywane i narzucane jedynie zgóry... „Powiedzmy sobie szczerze, że okres ten do czasu skrystalizowania się celu, idei wychowawczej — był czasem chaosu, który nie dał zadowolenia ani wychowawcom - nauczycielom, ani dzieciom, a najmniej rodzicom"... „Pod tym względem szkoła nasza przypominała zbyt często w latach przed majem 1926 r. organizację i pracę w naszym przemyśle. Tworzono fabryki, nie znając dokładnie ich celu i zapotrzebowania, ani możliwości zbytu produkowanego towaru". (?!) Kończy się ta gadanina apelem do rządu, żeby oczekująca nas reforma szkolna była dokonana przy współudziale nauczycielstwa.

Jakaż jest realna proza wobec tej iście majowej poezji?

Prawda jest, że poprzednie rządy dokonywały eksperymentów na szkolnictwie, co było zresztą dość naturalne, bo u zarania państwowości polskiej trzeba było stworzyć jednolity system szkolny.

Prawdą jest, że eksperymentów tych w szkolnictwie polskiem było zbyt dużo, ale również prawdą jest, że dokonywano je przeważnie w porozumieniu z nauczycielstwem (t. zw. sejmy nauczycielskie, współpraca programowa organizacyj nauczycielskich i t. d.).

Jakaż tedy zmiana błogosławiona nastąpiła w czasie rządów pomajowych? Czy okres eksperymentów został skończony?

Zaraz pierwszy naprawdę majowy minister oświaty, p. Sujkowski zaczął serję tak gwałtownych eksperymentów ze szkolnictwem polskiem na wschodzie, że nie pozostało „sanacji" nic innego, jak wycofać go z rządu po sejmowem *votum* nieufności. Potem pp. Bartel i Dobrucki zdecydowali się rozpocząć nowy okres eksperymentów i obdarzyć dopiero co zmontowane szkolnictwo zasadniczą reformą ustroju w duchu masońsko-socjalistycznej szkoły jednolitej. Na szczęście projekt rządowy ma szanse przyjęcia tylko w radykalnym Związku Nauczycielskim, natomiast bodaj że nawet w Klubie BB nie ma zapewnionej większości. Projekt tedy jako całość narazie pozostał eksperymentem na papierze. Zaczęły się jednak zaraz inne eksperymenty *in anima vili* szkolnictwa. Oto minister Świtalski jednem pociągnięciem pióra z dziś na jutro w środku roku szkolnego poczynił ogromne reformy, zmieniając nagle liczby godzin poszczególnych przedmiotów w kierunku rzekomego odciążenia młodzieży. Setki nauczycieli szkół średnich stały się właściwie z dnia na dzień niepotrzebnemi i powinny były na dobrą sprawę pójść na bruk. Że jednak byłby z tego za wielki skandal, więc jakoś z trudem rzecz w szkolnictwie państwowem załatano, płacąc ni stąd ni zowąd za przedmioty nadobowiązkowe tak jak za obowiązkowe. W szkolnictwie prywatnem było z tego powodu wiele katastrof, a cały sposób wydania zarządzenia był poprostu bezplanowy. Ale za to był to prawdziwy eksperament na szkolnictwie, eksperyment w typie i w sposobie przeprowadzenia czysto „pomajowy". Pono nawet pobudki nagłego „odciążenia" młodzieży miały charakter, że się delikatnie wyrazimy „osobisto — pomajowy".

W rezultacie wkrótce pokazało się, że „odciążenie" jest czysto fikcyjne, a zamieszanie w szkolnictwie jest jedynym narazie realnym skutkiem reformy.

Ten eksperyment rodzi dalszy eksperyment: trzeba na gwałt przerabiać programy do potrzeb „odciążenia" i potrzeb „szkoły jednolitej". Oto świeżo wyszedł dzien-

nik urzędowy, który wygląda jak podręcznik sztuki krawieckiej. Są tam same tylko wskazówki, gdzie należy krajać i obcinać przed paru laty ustalone programy, żeby uczynić zadość pomajowym wytycznym reformy min. Świtalskiego. Tu i owdzie trzeba też coś załatać, ale tego właśnie wymaga kunszt krawiecki.

Słychać jednak, że równocześnie odbywa się wielka robota przewrócenia do gruntu całego programu gimnazjum i szkoły powszechnej i podobno za parę miesięcy ma wyjść z druku całkowicie nowy program: całkiem świeży garnitur, nie przystrzygany i nie łatany. Nowy program, to znaczy nowe podręczniki, nowe „przeszkalanie" nauczycieli, którzy dopiero co uczyli się starego programu i t. d. Ale pomajowa szkoła musi mieć nowy, pomajowy program...

A może te zmiany wyszły „od dołu", jak chce „Głos Prawdy", może pytał kto o zdanie nauczycieli, może się ich kto radził? Niby rząd „pomajowy" radził się kiedy kogo? I czy wogóle jest jakiś cel radzenia się, kiedy rządy pomajowe w całej swojej „ideologji" opierają się o nigdy zgóry niewiadome decyzje kogoś, kto wszystko „zna lepiej". Szkoda czasu na narady z profanami! Możemy zapewnić „Głos Prawdy", że jego apel do rządu o współdziałanie z nauczycielstwem mało ma szans urzeczywistnienia.

A „okres eksperymentów" naszem zdaniem wcale nie został zakończony. Widać to już z tego, że rząd najpierw zmienia programy, a potem dopiero decyduje się wystąpić ze zmianą ustroju szkolnictwa. Programy zmienia jednak w duchu tej nieuchwalonej jeszcze ustawy. Wyobraźmy sobie teraz, że izby ustawodawcze zdecydują się dokonać zasadniczych zmian w rządowym projekcie ustawy. Co wtedy będzie?

— A nic, zmieni się znowu program!

W. JAWORSKI

NAUKA I LITERATURA

PACYFISTYCZNA POWIEŚĆ

POWIEŚĆ niemiecka *„Im Westen nichts neues"* E. M. Remarque'a, w polskiem tłumaczeniu „Na zachodzie bez zmian" ukazała się nakładem wydawnictwa „Rój". Na książkę tę warto zwrócić uwagę zarówno dzięki rozgłosowi, jaki w krótkim czasie zdołała uzyskać jak i ze względu na jej zawartość. Tembardziej że pośpieszono dostarczyć ją publiczności naszej w polskim przekładzie. Książkę tę koła pacyfistyczne słusznie oceniły jako doskonały dla siebie materjał propagandowy, a komitet nagrody Nobla rozważa kandydaturę p. Remarque jako zasłużonego krzewiciela pacyfizmu. Równocześnie związek niemieckich oficerów piętnuje publicznie książkę, jako uwłaczającą czci armji niemieckiej i pamięci bohaterów wojny. Na karcie zaś tytułowej tej publikacji mieści się napis, iż jest to... pomnik wystawiony niemieckiemu żołnierzowi nieznanemu!.

Po przeczytaniu dzieła p. E. M. Remarque trudno nie przyznać słuszności niemieckim oficerom. Żołnierz armji niemieckiej jest w niej przedstawiony jako wyzuty z wszelkich wyższych, ludzkich uczuć, pozbawiony odczucia motywów narodowych wojny, nie wiedziony żadną ideą, ani widzący celowości wojny i jedynie cierpiący ją posłusznie, owładnięty bez reszty grozą jej niebezpieczeństw oraz ciężarem niewygód. Wychowanie całe, które pouczało go o misjach historycznych oraz tradycjach narodu, reprezentowane przez znienawidzonego profesora gimnazjalnego, przedstawia się walczącemu w wojnie światowej Niemcowi, jako nędzne oszustwo i podstęp.

Stanowisko zajęte przez autora jest skrajnie indywidualistyczne, widzi przytem wojnę jedynie ze strony negatywnej: strachu przed śmiercią i nędzy żołnierskiej, malowanej z realizmem czasem niesmacznym (scena małżeńska w szpitalu), ani śladu wzruszeń wartości pozytywnej, zupełny brak uznania dla osobistej ofiary z życia i brak zrozumienia celowości tej ofiary. Książka napisana z dużym talentem, owiana jest do gruntu nastrojem neurastenicznej płaczliwości, a pomimo jej walorów artystycznych niezaprzeczonych, razi fałsz psychologiczny wąskości horyzontu duszy żołnierskiej, która, pozbawiona do tego stopnia wszelkiej iskry ambicji narodowej, patrjotyzmu a choćby przynajmniej ducha rycerskiego, czy nawet awanturniczego zamiłowania w niebezpieczeństwach, jest wprost nie do pomyślenia. W ogólnej koncepcji a nawet szczegółach znać wyraźny wpływ niżej zresztą stojącej książki francuskiej Barbusse'a p. t. *„Le Feu"*.

Podczas gdy koła wojskowe w Niemczech oburzają się na p. E. M. Remarque, propaganda pacyfistyczna Rzeszy skwapliwie eksportuje to dzieło i zapełnia niem księgozbiory narodów ościennych—armja nastrojona na ton książki *„Im Westen nichts neues"* nie odniosłaby bezwątpienia najłatwiejszego zwycięstwa, a naród wolałby pokojowo odstąpić swoje ziemie. Wobec wzmożonego tempa niemieckiej ofensywy na granice po-wersalskie, opinja polska nie może zagubić swego punktu widzenia na żaden z objawów niemieckiej aktywności.

Z. ST.

ZE ŚWIATA NAUKI I KULTURY

Dowiadujemy się z „Kurjera Poznańskiego", że w słynnej miejscowości kuracyjnej Truskawcu (podgórze Karpat wschodnich) powstało muzeum przyrodnicze regjonalne. Dano mu imię Emmy Jaroszowej. Muzeum jest dziełem braci Jaroszów, z których Rajmund, marszałek powiatu i właściciel Truskawca — zdroju łoży środki materjalne, a drugi Jan, prof. geografji na uniw. Jagiellońskim — wiedzę i pracę. Koło prof. Jarosza zgrupowali się pracownicy naukowi: Zdzisław Stuglik, Jan i Marek Saganowicz. Oni oblecieli cały regjon, aby zebrać okazy przyrodnicze. W sierpniu odbyło się uroczyste poświęcenie tego pięknego muzeum i instytutu naukowego. Truskawiec—to jeden z pięknych dowodów, jak owocnie pracować można w Polsce wolnej. Zrzucił z siebie dawne rządy gospodarcze żydowskie, rozkwitł jako zakład zdrojowy, a teraz wkroczył w sferę wyższej kultury. Wielka w tem zasługa rodziny Jaroszów.

*

Komitet obchodu 300-lecia śmierci Szymona Szymonowicza w Zamościu przygotowuje uroczystości jubileuszowe, poświęcone pamięci wielkiego poety i tak silnie związanej z nim Akademji Zamojskiej. Obchód ten odbędzie się w dniach 28 i 29 września r. b., połączony ze zjazdem naukowym. Na Zjeździe wygłoszone będą referaty: „Szymon Szymonowicz na tle epoki", „O postulatach badań nad humanizmem renesansowym w Polsce", „O postulatach badań nad Szymonowiczem i jego twórczością" oraz „O szkolnictwie humanistycznem w Polsce ze szczególnem uwzględnieniem Akademji Zamojskiej". Ponadto, w związku z uroczystością, ukaże się „Księga Szymonowiczowska" z pracami naukowemi o poecie i jego epoce, oraz szereg wydawnictw jubileuszowych.

*

Wkrótce ukaże się nakładem księgarni Hoesicka nowy tom poezyj Kazimiery Iłłakowiczówny pt. „Popiół i perły".

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Piękny hołd prawdziwej zasłudze złożył niedawno Tadesz Pietrykowski, ogłaszając (nakładem Tow. Bibljofilów im. Lelewela w Toruniu) pracę pt. „Walenty Fiałek, senjor bibljofilów pomorskich". (Toruń 1929, str. 29) Mieszkający w przepięknem, starożytnem Chełmnie, dziś starzec 76-letni, jest Walenty Fiałek człowiekiem wielce zasłużonym w pracy kulturalnej dzielnicy pomorskiej, w okresie najcięższej walki, jaką staczać ona musiała, przeciwstawiając się rosnącemu wciąż naporowi

niemczyzny. „Człowiek skromny, samouk, zecer, drukarz, księgarz i wydawca ksiąg ludowych", jednocześnie zaś „miłośnik i znawca ksiąg, swego czasu jedyny na Pomorzu, zbierał przedewszystkiem druki, odnoszące się do historji polskich ziem zachodnich, a zwłaszcza Pomorza, i stworzył bibljotekę, która co do znaczenia i jakości dzieł zebranych jest godną stanąć obok najcenniejszych księgozbiorów publicznych pomorskich".

Książka T. Pietrykowskiego wydana jest nader starannie i pięknie, zdobią ją *fac-similia* ciekawych druków i autografów ze zbioru Walentego Fiałka, przedewszystkiem dotyczących pisarzy pomorskich: J. F. Cejnowy, J. Prejsa, H. Derdowskiego, I. Danielewskiego.

*

Ukazała się obszerna, o kilkuset stronicach druku, broszura p. t. „Sprawa Harrimana", ułożona przez b. posła Medarda Kozłowskiego, zawierająca starannie zebrane dokumenty, opinje najwybitniejszych fachowców, inżynierów, ekonomistów it.d. Książka ta ma na celu przestrzeżenie opinji polskiej co do następstw, jakie pociągałoby dla Państwa udzielenie 60-letniego monopolu na elektryfikację kraju grupie kapitalistów zagranicznych, reprezentowanej przez Harrimana.

Ze względu na staranność i objektywność opracowania, jak również na ważność i aktualność omawianego w niej zagadnienia, „Sprawa Harrimana" winna znaleźć jaknajliczniejsze rzesze czytelników pośród inteligencji, pragnącej głębiej zapoznać się z zagadnieniami polityczno-gospodarczemi doby bieżącej.

*

Znany pedagog warszawski Wł. Korycki wydał u K. Wojnara szkice p. t. „Listy do matki". Są to żywo i barwnie skreślone obrazki zmagań się dyletantyzmu duchowego pozy estetycznej i nihilizmu z wewnętrzną tężyzną zdrowych instyktów społecznych i patrjotycznych. Szczególnie gorąco możemy polecić książeczkę młodzieży maturalnej.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„Noël Mathias", powieść p. Gil Robin, który jako lekarz interesuje się żywo chorobami umysłowemi nosi po części na sobie piętno właśnie choroby woli. Zasadniczy bowiem jej temat polega na tem, że bohater książki, Noël Mathias jest niezdolny do twórczości. Jednakowoż nie brakuje mu pomysłów, ani idei. Praca jego o Descartesie, oryginalnie ujęta, wywołała wrażenie i zawiść innych uczonych. Mathias zamierza również opublikować studjum o Pascal'u, później zaś poświęcić specjalnie swą twórczość uczonym i filozofom, uważanym powszechnie za drugorzędnych, a których sława została uzurpowana na korzyść innych. Piękne te projekty nie ujrzą jednakowoż światła dziennego. Mathias bowiem gromadzi materjały, argumenty, ale jest wprost niezdolny do realizacji swego dzieła. Choroba woli, zdawałoby, się bardzo wybitna. Autor podaje za jej przyczynę zawiedzioną miłość starego Mathiasa. Powieść ciekawa z punktu widzenia psychologicznego i dobrze ujęta.

*

P. Victor Goedorp, znający doskonale świat graczy w karty i graczy na wyścigach, publikuje *„Le coup de trois"*, (Grasset edit.). Jest to romans, którego jednakowoż ujęcie i całe przeprowadzenie jest przedewszystkiem charakterystyczne ze względu na istotnie głębokie refleksje filozoficzne autora, odnoszące się do samej gry, jak również i psychologji graczy. P. Goedorp oświadcza, iż „gra jest najniższą formą nadziei".

*

P. Binet-Valmer dał nam niedawno patetyczną powieść o przeobrażeniu uczuć kobiety ślepej, która odzyskuje wzrok. Jego ostatnia książka *„La Tragédie du retour"* (Flammarion edit.) jest znowuż tragedją starego Don Juana, przyzwyczajonego do hołdów, świadomego potęgi swej względem kobiet i uroku, jaki na nie wywiera, a który pomimo podeszłego wieku abdykować nie chce. Człowiek bowiem jest często ślepy względem samego siebie, zwłaszcza, gdy serce potrafi jeszcze po młodocianemu kochać. A takiem właśnie jest ono u Don Juana p. Binet-Valmer, którego druga żona, lekkomyślna i sama flirtująca na zabój, posiada młodą piękną córkę, Lysiane. Ta ostatnia pozostawiona sama sobie nie opiera się urokowi swego ojczyma. W egzaltacji swych uczuć i samotności, w jakiej pozostawia ją jej własna matka, Lysiane poddaje mu się coraz bardziej. I kto wie, czy tenże oparłby się do końca pokusie. Ale przyjdzie chwila, gdy siłą rzeczy będzie musiał skonfrontować swą starość z młodością odnalezionego swego syna, wychowanego w zupełnie odmiennych warunkach, ale do niego fizycznie podobnego, jak dwie krople wody. Wówczas zaś Lysiane porównując te dwa żywe portrety, dwóch generacyj. pójdzie za głosem młodości, poślubiając syna tegoż ojczyma. P. Binet-Valmer dał swojej powieści podtytuł: *„Roman de l'amour et de l'age"*, a temat ten przeprowadził w właściwą sobie subtelną wykwintnością, której nie brak dramatycznych akcentów.

*

PP. Jean Gaumont i Camille Cé, autorowie całego szeregu ciekawych utworów jak *„La Grand'Route des Hommes"*, *„Largue amarre"*, *J'aurais tué"* wykazali w tych różnych utworach dużo obserwacji i zrozumienia szerokich tematów życiowych. Wydają oni obecnie *„Plus vrai que la vie"*. Bohater tej powieści, Alain, pracuje u notarjusza. Zamiast jednak poślubić młodą Monikę, którą kocha, żeni się z Elodie, niezdolną do zrozumienia jego marzeń ani porywów, gdyż dla kobiety tej istnieje tylko szary realizm życiowy. Alain wie doskonale, że źle pokierował swą egzystencją. To też wszelkie jego dążenia zmierzają do wyrwania się z tej straszliwej powszedniości, oraz niemniej przygnębiającego otoczenia a stania się innym człowiekiem. Potrzeba zerwania ciążących na nim pęt nie daje mu jednak sił do wprowadzenia w czyn swych pragnień. To też całe jego nowe życie, pełne bogatych perepetyj, triumfów, energji mogło u takiego jak on człowieka mieć miejsce jedynie we śnie. Kiedy zaś się zeń przebudzi, oschła Elodie przypomni mu aż nazbyt dobitnie smutną rzeczywistość. Dla ludzi bowiem o pokroju bohatera pp. Gaumont i Cé, chimera i marzenie są jedyną formą czynu, ale intensywność ich przez czas krótki może stać się naprawdę *„plus vrai que la vie"*. W książce tej autorowie jej z dużą znajomością psychologji oddali w sposób ogromnie ludzki jeden z najpowszedniejszych, ale równocześnie i najboleśniejszych dramatów życiowych.

*

W czasach ostatnich w Hiszpanji ukazują się książki, które mimo tytułów, wskazujących na pewne tematy ściśle naukowe i zdawałoby się suche, są pisane w sposób niezmiernie interesujący i dostępny szerszemu ogółowi. Do książek podobnych należy zaliczyć niewielki tomik napisany przez znanego poetę Paz de Borbón *„Buscando las huellas de Don Quijote"* (W poszukiwaniu śladów Don Kichota), w którym autor podał materjał bibljograficzny tak umiejętnie, że tomik ten stanowi bardzo miłą rozrywkę. Toż samo można powiedzieć o książce znakomitego krytyka Gómez Moreno p. t. *„La novela de Espana"* (Powieść hiszpańska). Jest to studjum z dziedziny historji literatury, a jednocześnie czyta się je jakby jakąś ciekawą powieść. Również książka *„Don Quijote y el Cid"* (Don Kichot a Cyd), której autorem jest Angel Dotor posiada cechy podobne. Poza szczegółami, należącemi do naukowego traktowania przedmiotu, jest to zbiór wrażeń z podróży do la Mancha, Toboso, Segovia i innych miejscowości Kastylji, podany pięknym stylem w sposób oryginalny i zajmujący.

NOWE KSIĄŻKI

Roczniki Towarz. Narodowego w Toruniu. XXXV. Toruń 1929. Nakładem Tow. Nauk. Z zasiłkiem Wydziału Nauki Min. Ośw. i Pom. wojew. Związku Kom. Str. 463 i 70 plansz.

Treść: Mączyński Tadeusz. Kazimierz Rogala Zawadzki, jego życie i dzieła.

Łęga Władysław ks. dr. Kultura Pomorza we wczesnem średniowieczu na podstawie wykopalisk.

Zapiski Tow. Naukowego w Toruniu. T. VIII, nr. 1 i 2 (kwartały 1 i 2 1929).

Przegląd Współczesny. Sierpień.

Przegląd Powszechny. Wrzesień.

Mikulski Antoni J. Z pamiętnych dni. Garść wspomnień z przeżyć w list. 1918 w Białej Małop. Biała 1929. Nakł. autora str. 19.

Boy-Żeleński. Ludzie żywi. Warsz. 1929. Mortkowicz. Str. 263 i autograf.

Hoene-Wroński. Kodeks prawodawstwa społecznego absolutnego. Warsz. 1929. M. Arct. Str. 133.

Lewak Adam. Zbiory Bibljoteki Rapperswilskiej. T. I Opracował... Katalog rękopisów Bibljoteki Narodowej I. Warsz. 1929. Bibl. Nar. Str. XIX i 506.

Kowalczyk Jan J. Miłość i czyn. Opowieść z czasów przełomowych. Tom I. W drodze do prawdy i dobra. Katowice 1929. Nakład autora.

Kowalczyk Jan J. Zbójnik-opiekun. T. I. W czeluściach niedoli. Z ilustracjami Jana Wałacha z Istebny. Katowice 1929. Nakładem autora.

Towarzystwo wydawnicze „Rój" wydało:

Curwood J. J. Dolina śmierci. Przekład Jerzego Marlicza.

Garnett Dawid. Niezwykła historja o żonie zamienionej w lisa.

Przypominamy Sz. PP. Prenumeratorom, że czas odnowić przedpłatę na kwartał IV.

Egzemplarze nieopłacone za kwartał III-ci zostaną wstrzymane.

OFENSYWA

SEMICKI ANTYSEMITYZM

Swego czasu tygodnik „Myśl Narodowa" wydał trzy zeszyty specjalnie poświęcone Palestynie, syjonizmowi i ustosunkowaniu ludności arabskiej do napływających elementów żydowskich. W zeszytach tych pozwoliliśmy sobie puścić się na wieszczbiarstwo i twierdzić z mocnem przekonaniem, że wcześniej czy później dojdzie w Ziemi Świętej do bardzo ciężkich zamieszek i zaburzeń. Trzechkrotnie w artykułach i notatkach do bardzo obfitego i latami zbieranego materjału zaznaczyliśmy, że przy tak słabem tempie zasilenia emigracyjnego i przy tej taktyce politycznej, jaką obrali syjoniści, musi przyjść wnet do wielkich scysyj, rozlewu krwi i t. zw. pogromów. Ponieważ nie zatajaliśmy wtedy dużej sympatji dla całego ruchu syjonistycznego jako po pierwsze ruchu idealistycznego i tradycyonalistycznego, a po drugie w nadziei, że tą drogą pchnięta emigracja cokolwiek ulży potwornemu ciężarowi — garbowi Polski, przeto polemika, jaką wszczęli wówczas z „Myślą Narodową" publicyści syjonistyczni, miała ton kurtuazyjny, pozbawiony tej zajadłości i utajonej wścieklizny, jaka przebija zawsze z wypocin takiego Wassercuga i tp. mechesów. W każdym jednak razie twierdzono uporczywie, że tygodnik „Myśl Narodowa" się myli i że żydzi dzięki swojej oczywiście wielkiej kulturze i na tym terenie „newralgicznym" dadzą sobie radę. Życzyliśmy powodzenia ruchowi syjonistycznemu z całego serca i z całego rozumu, ciągle w nadziei, że ten brakujący im procentowo w Palestynie dla jakiej takiej równowagi pół miljona, w przeciągu jakich dziesięciu czy dwudziestu lat wywędruje tam, przeważnie z Polski. Tymczasem zawód na całej linji. Śmiesznie mały procent wyjeżdżających od samego początku, z roku na rok jeszcze opadał tak raptownie, że cyfry jego z lat 1927 i 1928 poprostu już nie wchodziły w rachubę. To była poprostu turystyka na wilegjaturę. Do jednego Karlsbadu na kurację więcej żydów wyjeżdżało, niż do Palestyny. Ostatnio zaś zaczęło się obserwować zjawisko reemigracji, to znaczy, że więcej do Polski z Palestyny wracało, niż wyjeżdżało.

Wróżąc na przyszłość katastrofalne scysje z Arabami, nigdy jednakże nie przypuszczało się, że tragiczna burza rozpęta się tak szybko i już w sierpniu r. 1929. Jeszcze na ostatnim zjeździe w Zurichu (lipiec) matadorzy i protektorzy syjonizmu byli tak pewni siebie, tak mocni w słowach... Była to atoli wyłącznie poza i komedja odgrywana dla Europy, podczas kiedy między sobą już trzeźwo zdawali sobie sprawę, że żyją tam w Erec-Izrael na wulkanie. Nieszczęście przyszło jakby na przekór niespodziewanie, nagle, jakby wywołane aroganckim tupetem tych Melchett'ów, Marshallów, Wisów i Aschów.

Kanthal-Maarbe, Ściana Płaczu, to jest tylko plastyczny, widomy symbol olbrzymiego konfliktu o wielkiej doniosłości w przyszłości. Jak były w dziejach ludzkości tragiczne drobiazgi, wywołujące olbrzymie afery, jak była uroda Kleopatry, „szklanka wody" rozlana na suknię królowej, dynastyczne intrygi, odrzucone zaloty królewicza, obrazy ambasadora itp., tak też i „Ściana Płaczu" jest tylko wspaniałem malarskiem akcesorjum.

Czy atoli, gdyby tej „Ściany Płaczu" nie było, czy doszłoby do krwawych scysyj między semitami gośćmi a semitami gospodarzami? Stanowczo tak, jeno może nieco później. Znikoma mniejszość (160.000) rościła sobie pretensje nie już do podporządkowania, ale do rządzenia despotycznego przytłaczającą większością (750.000), która, gdyby nie kunsztowne i sztuczne odcięcie Transjordanji, przy tej samej cyfrze żydów (160.000) wynosiłaby 950.000. Despotyzm, oczywiście, zaprowadzono w imię wyższości kulturalnej europejskiej, którą głównie w tym wypadku reprezentowały nasze t. zw. litwaki oraz młodzi żydzi rumuńscy, rosyjscy, greccy, nowojorscy i tp. Kultura, to trzeba uznać, niezła w rolnictwie, sadownictwie, rozbudowie (Tel-Awiw, Haifa, port) zaś obok: gramofony, radjo, dancing, rosyjska lektura, garsonki, wolna miłość, „tolerancja obyczajowa", nagość w pejzażu... co wszystko dość zacofanym, ciężko się ubierającym, ale etycznie wysoko stojącym Arabom fatalnie musiało działać na nerwy. Takiego *Herrenvolku*, i to ze swej własnej rasy, dumni Arabowie znosić jednak dłużej nad jedno dziesięciolecie nie mogli, nie mieli cierpliwości. Najważniejsze atoli jest to, że młodzi działacze semiccy widząc przed sobą zwartą masę opornych tubylców i wiedząc że poczucie dumy i godności narodowej, jak wszędzie tak i tu w znacznym stopniu związane jest z e s z l a c h t ą, z *muftimi* (duchowieństwem), z *effendi*, wpadli na dziko bezsensowny pomysł, by zgodnie z *divide et impera* jątrzyć i judzić chłopstwo tamtejsze czyli poprostu *fellachów* (takich samych jak w Egipcie) na obywatelstwo ziemskie, na „panów", na *effendich*. To samo robią na całym świecie z większem lub mniejszem powodzeniem (ostatnio murzynów na Amerykanów). Tutaj atoli się nie udało. Już sobie nawet wyedukowali w Niemczech poetę rewolucjonistę Araba, który pisał dramaty o niedoli *fellachów*, a okrucieństwie *effendich*. Już drukowali w arabskim języku pisma i perjodyki przeciw „pańszczyźnie", już zaczęli nawet komunistyczną propagandę tu i owdzie dyskretnie, ale zuchwale. Ale trafiła kosa na kamień. Jaka tam jest ta szlachta arabska, to jest, lecz w każdym razie dumy, odwagi, rycerskości, zuchwałości żadnym Druzom żadnym Beduinom nikt nigdy nigdzie odmówić nie mógł. Nie tak wiele znowu zniewieściali od czasów, gdy szli na zdobycie świata. A jeżeli zniewieściali, to jednak „niezrównanym budzicielom energji" narodów—żydom, udało się i ich nacjonalizm rozbudzić. Nawet *fellachy*, zirytowane nahalnością naszych litwaków, stanęły po stronie swoich ciemiężycieli *effendich*. Kto tam wie, czy po fellachach nie przyjdzie kiedyś kolej i na bezambitnych...Lachów? Dość, że ze środowiska arabskiego wyszedł wspaniały publicysta bojowy, odważny i niestrudzony Jamaal-Hussein, który rozpoczął olbrzymią *action directe* przeciw absolutyzmowi najeźdźców z wschodniej Europy, waląc broszurę po broszurze. Rozbudziła się semicko-arabska myśl narodowa w piśmie *Felestin...*, a wreszcie na czele całego renesansu narodowego stanął wielki *mufti* Haj Amin El Hussen, który całkiem już oficjalnie objął przewodnictwo i ten pertraktuje już z Anglikami jako strona ze stroną, twardo, nieugięcie, mocno odrzucając całą deklarację Balfoura, negując mandat, niezgadzając się na żadne *dominion*, na żadne *home-rule*, tylko i wyłącznie: Palestyna należy do Arabji i basta.

Jak się dalej sprawy potoczą, będziemy świadkami. Nie możemy zapominać o tem, że muzułmanie są tu od lat tysiąca i że sześć wypraw Krzyżowych elity rycerstwa europejskiego nie zdołało ich stąd wykurzyć. Nie możemy dalej zapominać, że żydzi wyszli stąd już 2000 lat temu..

Utopja syjonistyczna jest w koncepcji swej czemś bezsprzecznie bardzo pięknem, wzniosłem, z najidealistyczniejszych pobudek i to najrealistyczniejszego narodu zrodzonem. Nie można nie mieć sympatji i szacunku dla tych, którzy swemu plemieniowi chcą odzyskać jego macierzystą, prastarą siedzibę. Nie można nie wzruszać się, czytając, jak ci młodzi żydzi zdobywają piędź po piędzi, jak z kamienistego podhala chcą zrobić Chanaan, jak posiadaniem ornej ziemi chcą uszlachetnić, umoralnić społeczeństwo nomadów, kupców, czasem szachrajów, często lichwiarzy, niekiedy oszustów. Syjonizm właściwie popierać powinni wszyscy etycy, wszyscy moraliści. Popierać go powinny rządy tych wszystkich państw, w których żydów jest powyżej 10%. My przedewszystkiem, oczywiście ten syjonizm konsekwentny, integralny, eksportujący nadwyżkę systematycznie, w geometrycznie rosnącym procencie.

Ale cóż z tego, że my się zaczniemy wpisywać do syjonistów, jeżeli oni się masowo wypisują? Jeżeli nie chcą słyszeć o Palestynie, ale myślą, i to coraz skuteczniej o tem, żeby mieć ziemię obiecaną... w Polsce?

Z punktu widzenia humanitarnego nie można nie współczuć im z powodu tego bardzo ciężkiego pogromu sierpniowego. W każdym atoli razie jest to jednak kłótnia i mordownia w jednej i tej samej rasowej rodzinie. Pożarli się semici z semitami. No i z tego względu nie tyle może dobrze, ile nie źle się stało, że raz i Wszechmożna Wielka Brytanja poznała na swojej skórze i na swojej opinji, jaki to brudny gatunek ludzki, ten „naród wybrany"... ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W Przemyślu ul. Mickiewicza przemianowano na ul. Piłsudskiego. Nastąpiła wymiana genjuszów. Ale w Przemyślanach wymieniono pomnik. Przed laty 50 Przemyślany uzyskały od rządu austrjackiego pozwolenie na postawienie pomnika Franciszkowi Karpińskiemu, twórcy pieśni, które ludność polska do modlitw zalicza. Dokumenty pergaminowe tego pozwolenia wmurowano w fundament pomnika. Rusini podczas inwazji nie omieszkali strącić popiersia Karpińskiego. Miano postawić nowe, tymczasem — jak donosi „Lwowski Kurjer Poranny"—powstał jakiś komitet „sanacyjny", który kończąc robotę ukraińską, zburzył pozostały cokół, aby w tem miejscu postawić pomnik p. Piłsudskiemu. Wśród huku pękających we Lwowie bomb toczy się teraz w prasie miejscowej dyskusja, że niedługo nie będzie tutaj śladu zewnętrznego kultury polskiej, w nazwach ulic i pomnikach, wszystko będzie ostemplowane imieniem p. Piłsudskiego. Oczywiście hajdamacy ruscy nic przeciwko temu nie mają.

*

„Czas", składkowa oficyna dla służby wielkopańskiej, doskonale wtajemniczony w sprawy inwentarzów pałaców, stanął w obronie hr. Branickiego w sprawie dywana starego, tak zgrabnie sprzedanego państwu za 886.000 zł. „Czas" stara się oczyścić ten dywan przynajmniej z zarzutu, że był... pamiątkowy i tak go trzepie:

> „Dywan, o który wszczęto taki hałas, nie należy do zasobu inwentarzowych pamiątek po Janie III, ani nawet do rzeczy od dawna z Wilanowem związanych. Dostał się tu drogą kupna, nabyty w połowie XIX w. Nie istnieje nietylko dowód, ale nawet wskazówka, izby kiedyś był własnością Zwycięzcy z pod Wiednia".

Jeśli tak, to z jakiej racji skarb państwa wydał za tę starzyznę miljonową niemal sumę? Przecież, jak wyjaśniono, jedynym motywem kupna była pamiątkowość dywana (po Sobieskim). I ludzie się dziwią, skąd się arystokracja rodowa znalazła wśród „sanacji" typu Rogowa. Każdy ma jakiś dywan do zbycia.

BANK HANDLOWY w WARSZAWIE S.A.

ROK ZAŁOŻENIA 1870.

Centrala w WARSZAWIE ul. TRAUGUTTA 7/9

KAPITAŁ ZAKŁADOWY 20.000.000.—

Adres telegraficzny Centrali i wszystkich Oddziałów z wyjątkiem Wilna „HANDLOBANK".

Adres telegraficzny Oddziału w Wilnie: „HANDLOWY — WILNO"

Oddziały miejskie: Królewska 6, Tłomackie 1.

Oddziały prowincjonalne: Baranowicze, Będzin, Brześć n/Bugiem, Częstochowa, Kalisz, Katowice, Kowel, Łódź, Lublin, Lwów, Płock, Radom, Równe, Sosnowiec, Wilno, Włocławek.

„MORZE"

Jedyne w Polsce czasopismo ilustrowane, poświęcone zagadnieniom morskim i kolonjalnym.
WYCHODZI 1-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

Marynarka Handlowa i Wojenna, Żegluga Morska, Sprawy Portowe, Literatura Morska, Sport Wodny, Bogata Kron. Morska, Dział Kolon.

Każdy numer zawiera obfitą treść oraz kilkadziesiąt ilustracyj i rysunków w tekście. Cena numeru pojedyńczego 1.20 gr.

Pernumerata roczna zł. 12, półroczna zł. 6, Konto czekowe PKO 9747.

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA, KRÓLEWSKA 9, M. 6. TEL. 315-88.

Administracja na żądanie wysyła bezpłatne numery okazowe „MORZA".

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „ZORZA"
wyszła świeżo książka p. t.

Dzieje Polski lat ostatnich
od roku 1865

Książka jest dziełem prof. WACŁAWA SOBIESKIEGO i stanowi osobne, niezmienione wydanie tomu III-go jego „Dziejów Polski". Posiada wszystkie zalety dzieł tego pisarza.

Nowe wydanie zostało zaopatrzone w 20 ilustracyj, portrety postaci historycznych omawianej epoki.

Książka ma 245 stron druku. Kosztuje 5 złotych.

Nabywający „Dzieje Polski lat ostatnich" za pośrednictwem „Myśli Narodowej" nie ponoszą kosztów przesyłki książki.

OSTATNIE NOWOŚCI:

	zł.
BARTOSZEWICZ Joachim. Zagadnienia polityki polskiej.	3.—
DROBNIK Jerzy. Przesilenie współczesnej polityki.	6.—
JABŁONOWSKI Władysław. Mowy Mussoliniego	2·50
KINIORSKI Marjan. W służbie ziemi. Refleksje rolnika na posterunkach publicznych	10.—
KONOPCZYŃSKI Wład. Umarli mówią	5.—
KOZICKI Stanisław. Na Sycylji	4.50
PAMIĘTNIK Koła Kielczan z r. 1928	6.—
PIEŃKOWSKI Stan. W ogniu walki. Szkice w sprawie żydowskiej	3.—
RYBARSKI Roman. Handel i polityka handlowa Polski w XVI stuleciu. 2 tomy	36.—
SKIWSKI Jan Emil. Poza wieszczbiarstwem i pedanterją	8.—
SOBIESKI Wacław. Dzieje Polski lat ostatnich (1865--1926)	5.—
„ „ Walka o Pomorze	6.50
ŚWIĘTOCHOWSKI Aleks. Nałęcze. Powieść	8.—
WASILEWSKI Zygmunt. Poeci i teatr. Spostrzeżenia	7.50
„ „ Wspomnienia o Kasprowiczu i Żeromskim	4.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.

ZAKŁAD ROBÓT REMONTOWYCH

KAZIMIERZA SCHODECKIEGO

W WARSZAWIE, UL. LUDNA NR. 7.

TELEFON 94-59.

—◆—

WYKONYWA WSZELKIE ROBOTY:

MALARSKIE
MULARSKIE
I ZDUŃSKIE

OD SKROMNYCH DO WYTWORNYCH ORAZ OGÓLNY REMONT LOKALI, WILLI I T. P.

ROBOTA SOLIDNA CENY PRZYSTĘPNE

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 2545. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 1290.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. — PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM